WIENIEC

PISMO DODATKOWE
DO
GAZETY WARSZAWSKIEJ
POŚWIĘCONE LITERATURZE

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie,
Tych wonią serca pieszczę tych się barwą zdobię.

Za Pozwoleniem Cenzury Rządowej.

Rok drugi Tom IV.

MIESIĄC ~~CZERWIEC.~~ LIPIEC

WARSZAWA

1840.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

PAMIĄTKA.

Ileż pamiątek w życiu człowieka;
Ileż to wspomnień przeszłości,
Kiedy grobowiec otwarty czeka,
Wiodąc go w bramy wieczności.
Nie długie chwile życia naszego,
Dajesz nam przebyć o Boże!

Lecz wiele złego, albo dobrego,
Człowiek doczekać w nich może.

* * *

Miło mu wspomnieć lata dziecinne,
Ileż tam znajdzie pamiątek,
Tam przeżył chwile błogie, niewinne,
Tam jego szczęścia początek.
Tam jego każdy pieścił tak mile,
Matka do łona cisnęła,
Tam wśród radości i uciech tyle,
Najpierwsza łezka spłynęła.

* * *

O! łzo radości i smutku razem,
Tyś w Bóstwa zrodzona łonie,

Tyś najprawdziwszym cierpień wyrazem,
Gdy serce w w boleści tonie,
Ty rozweselasz oko stęsknione,
Gdy twą perełką jaśnieje,
Ty niesiesz ülgę gdy już stracone
Wszystkie człowieka nadzieje.

* * *

Szczęśliwe latka szybko minęły,
I wszystko z sobą zabrały,
Ach! one wiecznie—wiecznie zginęły,
Tylko wspomnienia zostały.
Nowe pamiątki—nowe wrażenia,
Dalsze nam przynoszą nam lata,
Dotąd rodzinie człek święcił tchnienia,
Teraz żyć musi dla świata.

* * *

Pamięci! zwróć się w owe godziny,
I dni ubiegłéj młodości,
Kiedy w spokojne serce dzieciny,
Uderzył pocisk miłości.
Ach! tam najmilszy promyczek świeci,
Tam życia różany wianek,
Ileż rozkoszy w sercu roznieci
Tak miły życia poranek.

* * *

Szczęśliwe chwile!—i wy niestałe,
I wy niesiecie cierpienia,
Często z tęsknoty serce zbolałe,

W męczarnie życie zamienia,
Jednakże do was młodzieniec wzdycha,
Dziewica pragnie was skrycie,
I jak kwiateczek wcześnie usycha,
Lub wami zdobi swe życie.

* * *

Lecz daléj – daléj prowadź mnie myśli,
W głębszą krainę pamiątek,
Tam wyobraźnia moja nakreśli,
Cichy i skromny zakątek,
W nim żyje zgodnie para szczęśliwa,
Ozdobą ich przywiązanie,
Wszystko osładza miłość prawdziwa,
Ona za skarby im stanie,

* * *

W następne lata dziatwa kochana,
Do matki tuli się łona,
A ona dobru dzieci oddana,
Ich szczęściem uszczęśliwiona,
W uściskach męża—w pieszczotach dzieci,
Świat się dla matki zawiera,
Ale jak wszystko — i to uleci,
Ine się życie otwiera.

* * *

Nie zawsze człowiek tym ogniem płynie
Co go tak długo zagrzewał,
Gdy włos zbielony—sędziwe skronie
Zimny wiatr będzie obwiewał,

Ostygnie serce na czucia wrzące,
Namiętność spokojnie zaśnie,
Bo już światełko słabo tlejące,
Na zawsze wkrótce zagaśnie.

*
* *

Szczęśliwy wówczas—gdy myślą zwróci
W ubiegłych latek wspomnienie,
Gdy snu błogiego jemu nie skróci,
Nie dobrych czynów spełnienie.
Gdy żył rzetelny, prawy, poczciwy,
Gdy biédnych cieszył i wspierał,
Nie gardził takim co nieszczęśliwy,
I łzy cierpiącym ocierał.

*
* *

O! miłe wówczas jego pamiątki,
Miłe wspomnienia młodości,

Zbierając myślą przeszłości szczątki,
Nagrodę znajdzie w starości.
Takie pamiątki gdy zdobią życie,
I w sercu radość odżyje,
A cicha łezka popłynie skrycie,
Gdy go mogiła pokryje.

Jan H....

KRZYŻE I WIATR

(*powieść Ch. Paul de Kock.*)

Adela Reneval miała lat 24 i pozostała jeszcze panną, jednakże chociaż nie odznaczała się pięknością, chociaż nie miała postawy robiącéj wrażenie na biesiadach, koncertach i widowiskach, gdzieby zwracali na nią lorynety młodzi eleganci (co czasem bardzo jest nieznośném dla téj co

jest przedmiotem tych uwag) panna Reneval była jednakże bardzo przyjemną — fizjonomia jéj pełna życia, lecz skromna, dobrze każdego uprzedzała. Czarne oczy Adeli nie były ani wielkie ani małe, ani też zamglone, lecz miłe a wyraz słodyczy w nich się malujący nowych wdzięków przydawał, gdyż Adela wyraża ła się z wdziękiem i elegancją; słuchając znajdowano ją ładną...

Adela otrzymała świetne wychowanie. Była ona córką adwokata utalentowanego, który umierając żadnego majątku nie zostawił, gdyż w ogólności złe sprawy lepiéj są płacone jak dobre, co jest konieczne do wygranéj; panna Reneval więc nie mając ze swoją matką z czego żyć jak tylko w uczciwéj mierności, pielęgnowała z użytkiem muzykę i malarstwo.— Nawet poezja nie była dla niéj obcą, lubiła namiętnie czytanie i umiała na pamięć kilku celniejszych autorów, nakoniec ośmieliła się niekiedy pisać wiersze lecz tajemnie pod pieczęcią; nie pokazy-

wała ich jak tylko kilku dobrym przyjaciołkom, za przyrzeczeniem, że nie wspomną o tem nikomu, a dobre przyjaciołki nie przepomniały ich udzielać całemu światu, czyniąc podobne zastrzeżenie milczenia. — W towarzystwach tak się sekret zatrzymuje.

Adela Reneval stała się nareszcie jak to nazywają po światowemu kobietą artystką; znaczy to pospolicie kobietę, co pod względem postawy, obejścia, rozmowy, okazuje więcéj swobody, jak inne kobiety; artystce jeszcze dozwala się uwolnienia od ścisłych praw stylu, dworności i zwyczajów, nieco więcéj wolności w postępowaniu i mowie, nakoniec kobieta artystka, powinna być i to najmniéj porządnym oryginałem albo czemś oryginalném. Tak przynajmniéj sądzą, tak ich przedstawiają, a jednak znam ich wiele, które nic a nic nie są podobne do skreślonego dopiero obrazu.

W 19 roku życia panna Reneval utraciła matkę, i żyła ze swoją starą ciotką — jedyną krewną jaka jéj pozostała. — Ciotka miała 5000 fr. dochodu i była bardzo głucha. Panna Reneval powinna kiedyś odziedziczyć majątek ciotki i

z własnemi 2000 franków była to dosyć nie zła partja, dla wielu kandydatów do ożenienia—panna przyjemna, przystojna, pełna życia, z talentem i mogąca mieć kiedyś 7000 franków dochodu, nie powinna obawiać obawiać się aby została do *ubierania Stéj Katarzyny*, jak mawiają dobre kobieciny, co równie lubią przysłowia jak *Sancho.*

Dla czegóż w 24 roku Adela Reneval nie znalazła jeszcze męża.

Nie znalazła! możnaby dowieść że ich znalazła wielu. Brzydkich, głupich, złośników, znajduje się bardzo wiele na tym świecie, a Adela nic z tego nie posiadała.

Odmówiła więc wszystkim?... być może obdarzona sama dowcipem, talentami, żądała również znaleść podobneż przymioty w swoim przyszłym, a wymagając wiele, nic nie otrzymała. Ale nie, kobiéty z dowcipem, kobiéty lube, nie są pospolicie zbyt wymagające, wybaczające na błędy, litościwe dla słabości, wiedzą bardzo dobrze że nie ma nic doskonałego na tym padole, i że trzeba brać ludzi takich jakie-

mi są, rzeczy jak wartują, czas jakim jest obecemu, kochanków jak obiecują, a mężów jakiemi będą.

A więc dla czego panna Reneval nie jest jeszcze panią. Wiele o tém czyniono domysłów, a między innemi najwięcéj rozsiewał plotki pan Molard, około 55 lat mający, dawny podszef z bióra administracji, żyjący z emerytury, wdowiec po trzech żonach i niemający innego zatrudnienia nad śledzenie co się dzieje u sąsiadów a nawet w jego okolicy.

Pan Molard nie posiadał nic coby się podobało, z oczami okrągłemi i głupowatemi, które zdawały się na wierzch wyłazić, z twarzą małpowatą, nosem spłaszczonym, brodą wystającą, czołem płaskiem i włosami w nieładzie spadającémi, nie można być pięknym nawet w 20 latach, zwłaszcza, kiedy się do tego łączy mina junacza i zarozumiała. P. Molard więc był zawsze brzydkim, a starzejąc się, jeszcze rysy jego więcéj nieprzyjemności nabierały. Jednak że P. Molard był wdowcem po 3ciéj żonie.

Tak jest, p. Molard znalazł trzy żony!... i trzy przyjemne kobiety nie wzbraniały się go za-

ślubić!... Mówią że miłość jest ślepą, ale hymen musi być więcéj ciemnym.

Pierwsza małżonka p. Molard była piękna, młoda dziewica, wyszła prosto z pensji i któréj matka, kokietka, bardzo się cieszyła że mogła się swéj córki pozbyć; p. Molard okropnie zazdrosny zamykał swą połowicę na klucz i nie dozwolił bywać w świecie, umarła więc z nudów i ckliwości po dwóch latach małżeństwa.

Druga pani Molard była gryzetką, żywa, figlarna, roztrzepana, przyjmująca męża aby ją nazywano panią lecz nie dla tego żeby być zamykaną.— Pan Molard zawsze zazdrosny, chciał podobnie jak pierwszą zamykać swoją drugą połowicę lecz tym razem nie był panem domu,—Pani Molard *druga* śmiała mu się pod nos i tłukła o jego głowę talerze.— Na wzajem ona to zamykała męża, kiedy wychodziła na bal lub przechadzkę,przepędzając noc za domem cztery razy w tygodniu tłukąc wszystkie rzeczy gospodarskie kiedy się jéj sprzeciwiać ośmielono.

Zaziębienie którem na jednéj zabawie do-tkniętą została, uwolniło pana Molard od jego drugiéj połowicy.

Trzecia pani Molard była nadzwyczajnie me-lancholiczną i romansową, lubiła tylko wznio-słe uczucia, nudziła się z mężem z powo-du jego materjalizmu, nad zgiełk nędznych ziemskich zabaw przenosiła samotność i pewnego poranku uciekła z młodym artystą grającym jako lubownik *Antony*. W kilka lat pan Molard dowiedział się że po raz trzeci został wdowcem.

Trzy nieszczęśliwie skojarzone małżeństwa po-winnyby uleczyć z chętki ożenienia się tego brzydkiego jegomości, jednakże Molard co sta-rzejąc nie mógł już być brzydszym lecz mógł się stać śmieszniejszym, ośmielił się zwrócić o-czy na pannę Reneval.

Przyjmowany u staréj jéj ciotki gdzie nie-kiedy grywał w karty, Molard ujrzał Adelę, do-wiedział się że jest wolną, że odmowiła wie-lu ręki, został zachwycony jéj wdziękami,

dowcipem i rzekł sobie, nadskakujmy i starajmy się zyskać czwartą żonę.

Adela nie zważała ani na oczekiwania, ani na westchnienia Molarda, nie mogła bowiem domyślić się aby ten jegomość poważył się wzdychać do jéj ręki. — Spstrzegłszy że wzdycha nadaremnie, pewnego dnia postanowił oświadczyć się jawnie. — Ciotka była w domu, ale głucha, można więc przy niéj jeśli nie działać to przynajmniéj mówić.

Jednakże kiedy pan Molard skończył oświadczenie miłosne, Adela śmiała się tak mocno i długo, że aż ciotka coś usłyszawszy zapytała o co chodzi.

— To nic, moja ciociu, rzekła Adela, to pan Molard deklamuje scenę miłosną!... o! on jest jeszcze dość żwawy na swój wiek. — P. Molard tak dziwacznie się krzywi kiedy chce grać rozkochanego, że prawdziwie nie dziwię się, iż trzy żony jego umrzeć musiały, gdyż za wiele się śmiały patrząc na niego.

Molard tajemniczy widząc że nic nie wskóra u panny Adeli, miał nawet minę żartującego i

wszystko w śmiech obrócił, lecz w głębi serca zachował uczucie żalu, gniewu i chęć zemsty, gdyż miłość własna głupca straszną jest dla tych co ją zadrasnęli i nigdy im bezkarnie nie przebacza.

Molard nie przestawał odwiedzać panią Bremont, tak się nazywała ciotka Adeli, słuchał, uważał, i śledził. Jednego wieczora, kiedy stara ciotka wygrała w karty, a ztąd była w lepszym humorze jak zwyczajnie, usiłował zawiązać rozmowę o jéj synowicy i dowiedział się nareszcie że Adela trzy razy była już zaręczoną.

Trzy razy, zawołał Molard oczarowany tém odkryciem i jakież to przyczyny zerwałyby te małżeństwa.

Hę...odrzekła stara pochylając się do ucha p. Molard.

— Ten ścisnął usta i powtórzył zapytanie...

— Przyczyna!... mówiła pani Bremont, alboż ja wiem o czem?... Młode dziewczęta tak są dziwaczne... co chcą dzisiaj tego nie chcą jutro...

— A więc narzeczeni nie podobali się?.

— Co...

Molard przysunął usta do ucha pani Molard i powtórzył pytanie.

— Nie!... narzeczeni podobali się Adeli... przeciwnie, pierszy był to bardzo przyztojny młodzieniec, — kontrakt miał być już podpisany, kiedy w tém moja siostrzenica zasłabła.. potem nie chciała skończyć. — Drugi był to do rzeczy wojskowy. Podczas uczty na zaręczynach Adela straciła przytomność, zemdlała i zapowiedziała że nie pójdzie za mąż. — Nakoniec trzeci zjawił się, człowiek uczony, z dowcipem, uprzejmy, lecz pewnego wieczora, rozmawiając, Adela padła bez zmysłów, i trzecie małżeństwo jak inne zerwane zostało.

— To rzecz szczególna, zadziwiającą?.. ale dla czego synowica tyle razy zasłabła... musiała mieć przyczynę... Nikt nie mdleje bez powodu, szczególniéj kobieta artystka, literatka... co nie wdaje się w miłostki... musiała ci wyjawić przyczynę...

— Co..

— Molard prawie wlazł wucho pani Bremont.

Która nareszcie odpowiedziała.

— Adela nie dała innéj nad tę, że nie chcę zaślubić tego pana, — nie podoba mi się, nie do mego smaku — ponieważ nie mam zwyczaju sprzeciwiania się mej synowicy, przeto nie nalegałam, a potem, skoro chce pozostać panną, nie wiem dla czego miałaby iść za mąż.

Molard nie mógł się więcéj niczego dowiedzić.

Znudzony i utrudzony gadaniem do ucha staréj ciotce, odszedł, lecz nie przestał myśleć o sposobie dowiedzenia się prawdy. — Młoda dziewczyna która mdleje i traci przytomność, i nareszcie nie chce swego narzeczonego, w tem musi być jakaś tajemnica.

— Molard wyciągnął następujące wnioski. — Albo panna Reneval, ma jakąś tajemną ułomność, i nie śmie jéj wykryć przed mężem, albo miała miłosną intrygę, jakąś słabość o któréj nie chce, aby wspominano przed przyszłym, albo doświadcza nieuleczonéj odrazy od mał-

żeństwa... albo... to inna rzecz, lecz to pewna, że w tém kryje się coś...

Od czasu jak Molard dowiedział się o mdłościach i zerwanych małżeństwach, nowej przedsewziął doświadczyć taktyki dla odkrycia tajemnéj przyczyny. — Kiedy znajduje się w obecności panny Reneval, zawsze jakąś awanturkę opowiada, zwracając badawcze oko na literatkę, czy się nie zdradzi.

Raz pewna panna, w chwili zawarcia ślubu dowiaduje się że jéj przyszły zwiodł i opuścił inną młodą dziewczynę, drugim razem narzeczony odkrywa że jego przyszła miała już miłostki. — Lecz Adela słucha zawsze tych powiastek obojętnie, często na nie bynajmniéj nie zważa a Molard oddaje się wszystkim djabłom, aby tylko odkryć jaki powód skłonił pannę Reneval do trzechkrotnego zerwania małżeństwa.

Pewna pani, jeszcze młoda, mieszkająca w sąsiedztwie Adeli, zawiązała z literatką stosunki przyjaźni. — Pani ta żyjąca bardzo szczęśliwie z swym mężem, bezustannie chwaliła słodycze małżeńskiego pożycia.

— Dla czego nie idziesz za mąż, mówiła pewnego dnia pani Duplesis do panny Renewal...

— Prawdziwie nie wiem dla czego, odpowiedziała Adela z usmiechem.

— Że panna Adela nie poszła jeszcze za mąż, to dla tego że nie chciała, rzekł Molard obecny, gdyż po trzy razy była już zaręczona.

— Któż ci o tem powiedział, mości panie zapytała Adela spoglądając ostro w oczy panu Molard.

— Twoja ciotka, mościapanno,.. powiedziała mi nawet, że po trzy razy mdlałaś skoro...

— To dobrze, panie, dosyć na tem... — przerwała Adela niecierpliwie. — Moja ciotka lubi wiele mówić, a pan jest niedyskretny.

— Panno Adelo, ja...

— Jeśli dotąd nie mam męża, to zapewne dla tego że nie znalazłam stosownego.

— I ja tak myślę... lecz .. kiedy nie wiemy przyczyny.

— Zdaje mi się, że nie mam powodu zdawać mu rachunków z mojego postępowania.

— Nie, bez zaprzeczenia, dla tego...

— Dosyć... mości panie.

Molard zamilkł, lecz tak bolejącą zrobił minę że wkrótce Adela parsknęła śmiechem i zawołała.

— Bezwątpienia mości, Molard sądzę że gdybym znała pana wprzódy, nikt nie śmiałby mi się zalecać — Wpan czynisz na mnie ten sam, skutek jak owe widziała które stawiają w ogrodach dla postrachu ptaków.

—Wolę to mościapanno, jak żebym był przyczyną twoich mdłości, odpowiedział p. Molard z drwinkującym uśmiechem.

—Panna Reneval ugryzła się w wargi, a stary jegomość, wyszedł uradowany, że mógł odpowiedzić złośliwie.

Sąsiadka nieodstępowała od swego zamiaru, lubiła bowiem swatać, jest to zwyczaj od którego wiele osób powinnoby się odzwyczaić, wróciła więc wkrótce do ulubionego przedmiotu.

—„Moja kochana Adelo: rzekła pani Duplessis, znam pewnego jegomości, przyjaciela mojego męża, który ci zapewne przypadnie do smaku. Ma lat 30, dosyć przystojny...to nie przeszkadza być dobrym mężem, gdyż w ogólności, piękna postawa towarzyszy zwykle łagodnemu charakterowi.

—Bezwątpienia, odpowiedziała Adela, spostrzegłam że ludzie brzydcy są złośliwsi od innych.

—To rzecz naturalna, bo ich gniewa że są brzydcy. Nakoniec ten pan posiada majątek, a co więcéj ma dowcip, talenta, jest przyjemny, pozwól abym ci go przedstawiła.

—Najchętniéj, chociażby go nie wzięła za męża, jego towarzystwo może nam być przyjemnem.

Pani Duplesis nie przepomniała przedstawić P. Peronier, a panna Reneval przyznała że w obrazie skreślonym bynajmniéj mu nie pochlebiono. Ten pan jest przyjemny, wesoły, jego zwyczajne ułożenie oznacza człowieka do-

brze wychowanego, nakoniec ma powierzchność od razu się podobającą, i od razu można z nim tak postępować jak z dawnym znajomym.

Adela znalazła p. Peronier miłym i uprzejmym i bynajmniéj nie ukrywała tego przed panią Duplesis, z drugiéj strony, sąsiadka bada tego pana którego ma zamiar wyswatać, i z radością się dowiaduje, że mu się bardzo podoba panna Reneval.

Co do staréj ciotki ogłuchła już do tego stopnia że nie podobna się z nią rozmówić. — Nie mogąc rozprawiać, dobra staruszka lubi grać w karty zaraz po śniadaniu, i tą było przyjemną rzeczą dla p. Molard że nie przestawał bywać i grać z nią w karty, bo trzymając karty mógł śledzić co robi jéj synowica.

Obecność nowéj osoby zadziwiła naprzód pana Molard a potem p. Peronier wcale mu się nie podobał.—Ten pan obchodzi się grzecznie, jest przyjemnym, ale w oczach ludzi brzydkich i głupich są to błędy. Ludzie podobni są w tym razie do lisów, gnią to czego nie posiadają, usiłują nawet obrócić w śmieszność to czego w głębi duszy bardzo zazdroszczą —

Biedni ludzie, natura nie stworzyła nas dobremi, a wychowanie uczy nas tylko pokrywać nasze błędy.

Nareszcie panna Reneval, zda się że słucha z przyjemnością i widuje p. Peronier, a to większe zmartwienie p. Molard, kiedy kochamy się w jakiéj pannie, i chociaż nie mamy żadnéj nadziei pozyskania wzajemności, jednak bez zazdrości nie możemy patrzéć na tych co są od nas szczęśliwszemi.

P. Peronier nieodstępnym jest towarzyszem Adeli, a ta mu co dzień więcéj okazuje przychylności, wkrótce nie ma wątpliwości że pan Peronier kocha się w pannie Reneval.

Molard rozważa, zadziwia się i wciska kiedy niekiedy złośliwe postrzeżenia.

—Małżeństwo to przyjdzie do skutku, jestem pewna, rzekła pani Duplesis, rada z obrotu jaki rzeczy biorą.

— Małżeństwo — odparł Molard kiwając głową, — o jeszcze nie doszło, panna Reneval już kilka razy zawiodła narzeczonych.

—Z własnéj woli, ale tym razem, kiedy się jéj

pan Peronier podoba, bezwątpienia nie zmieni swoich zamysłów.

— I inni także się jéj podobali, odrzekł, a przecież w chwili skończenia, nie chciała. Bo zapewne odkryła jaką wadę, jakąś nieprzyzwoitość.

— Nie mdleje się przecież, kiedy panna spostrzeże jaką wadę w narzeczonym, — mówią, tłómaczą się, to jest wcale przyzwoiciéj.

— I cóż z tego wnosisz, mości panie.

— Wnoszę, że w tym jest jakaś tajemnica, że Adela ukrywa się przed światem, a nawet przed ciotką...że w chwili zawarcia ślubu tajemnicą ją gnębi, co staje się powodem mdłości, a nie chcąc wszystkiego wyjawić przed narzeczonym woli raczéj nie mieć męża.

— Jesteś pan głupcem, mości Molard.

— Cierpliwości tylko moja pani, skoro tylko rzeczy będą na ukończeniu, ujrzysz że zemdleje.

Jednakże rzeczy postępowały. — P Peronier oświadczył się staréj ciotce, która mu najprzód odpowiedziała że dostanie kapotę, nakoniec poj.

mując że to chodzi o małżeństwo jéj synowicy, dała zezwolenie pod tym jednak, warunkiem, że jéj przyszły siostrzeniec będzie z nią grać w pikietę, przynajmniéj raz na tydzień.

Wkrótce ułożono warunki co do majątku, plany i zamiary na przyszłość, nareszcie naznaczono dzień na podpisanie kontraktu ślubnego — Molard bezprzestannie śledzi, i bada wzrokiem Adelę. — Co chwila oczekuje czy nie zasłabnie, lecz panna Reneval ciągle jest wesoła, i ze swym przyszłym podziela to uczucie.

W dzień podpisania kontraktu, najpierwszy Molard przychodzi. Trzyma w kieszeniach na pogotowiu flakoniki z eterem, octem czterech złodziei i wodą melisową. — Kręci się, kołuje bez ustanku około panny młodéj. — Za najmniejszem jéj poruszeniem przybiega z flaszeczką, jeśli bierze za chustkę, jeśli siada, szepcze jéj: pani jest słabo, potrzebujesz świeżego powietrza.

Lecz Adela nie przyjmuje usług Molarda który na swoje zmartwienie musi chować flakoniki.

Kontrakt podpisany, Adela nie zemdlała, nawet nie zbladła, Molard stoi jakby skamieniały, zaczął już wierzyć że sobie ciotka z niego zadrwiła, albo nie dosłyszała tego o co ją pytał.

Stary adonis powrócił do siebie z wściekłością, odepchnięty przez Adelę, zdawało mu się przynajmniéj że nikogo nie zaślubi, a oto zostanie na jego nieszczęście panią Peronier. — Lecz ceremonja kościelna, Molard ma nadzieję że małżeństwo zostanie zerwane. — Zasiada do biurka i pisze następujący list do p. Peronier, usiłując odmienić charakter swego pisma.

— Zerwiéj małżeństwo z panną Reneval. dziewczyna ta ukrywa tajemnicę która może ci zatruć życie. Już trzykrotnie miała się zaślubić i za każdym razem zgryzoty sumienia zniewoliły ją do zerwania przez nagłą słabość.

Nie czekaj więc aby i z tobą podobnie po-

stąpiła. — Ktoś co się interesuje twoim szczęściem.

Bilet puszczony na miejską pocztę, a Molard przemyśliwa, że gdyby coś odkrył niekorzystnego na stronę pana Peronier, toby zmieniło chęci Adeli.—Gniewa się że pierwéj o tém nie pomyślał, biegnie więc co prędzéj do mieszkania pana młodego, idzie tylko o zaczepienie szczebiotliwych języków sąsiadek p. Peronier. Molard posiada w tém nie małą wprawę.

P. Peronier mieszka na ulicy Sgo Honorjusza w pięknym domu. Molard udaje się do odźwiernego z słodziuchną minką, trzymając kapelusz w ręku jak gdyby miał do czynienia ze szwajcarem.

—P. Peronier?

—Tutaj, na 2m piętrze, drzwi ostatnie.

—Nieskończenie dziękuję.

Molard kłania się, i niby odchodzi, potem wraca.

—Ten pan trudni się interessami.

—Tak panie.

—Przepraszam jeśli o to zapytuję....lecz gdy

chodzi oczynność wielkiéj wagi, którą mamy powierzyć p. Peronier, zobowiązano mnie powziąść o nim niektóre wiadomości.

Odźwierny nie jest ani krawcem, ani szewcem nie ma ochoty do gawędki, usiada więc przed piecem, bierze dziennik do ręki i nie słucha więcéj zapytań.

Molard wchodzi do izdebki i zaczyna.

—Dawno już jak P. Peronier zajmuje w tym domu mieszkanie.

—Mieszkanie, odrzekł odźwierny, to prawdziwie już jest trzecie.

—Jakto?. P. Peronier trzy zajmuje na raz mieszkania dla siebie samego, musi więc mieć wiele mebli.

. Odźwierny stulił ramionami, nadął się z miną znaczącą i nakoniec odpowiedział.

—Nie rozumiesz pan co mówię, pan Peronier ma trzecie mieszkanie, to nie znaczy aby trzy na raz zajmował. Mieszkał najprzód na 4m piętrze, potem sprowadził się na 3ie a teraz stoi na drugiém.

—Oh! Oh! rzekł Molard, to szczególna, postępować zawsze na dół.

— Tak ale cena się podwyższa schodząc na dół.

— To mi się zdaje dosyć oryginalne. A od jakiegoż czasu p. Peronier tak się przenosi.

Odźwierny głaska psa, bawi się z kotem, ziewa, przeciąga się nakoniec i odpowiada.

— Dalibóg nie ma jeszcze 8 miesięcy jak p. Peronier zamieszkuje w naszym domu.

— A więc po kilka miesięcy w każdem więszkaniu, to śmiesznie... a co do... do obyczajów sądzisz pan... uważałeś.

Ach, nie pilnuję moich lokatorów, cóż pan sobie myślisz, czy przychodzisz jako gwardzista narodowy.

Nie, mospanie, powiedziałem że w interesie który mają powierzyć pana Peronier.

— A więc masz pan kartę, kazał mi ją dawać tym, którzy go nie zastaną. — Z téj dowiesz się co jegomość robi, bo ja nie mam czasu abym cały dzień rozprawiał.

I oddawszy kartę, odźwierny zatrzasnął drzwi

od swéj izdebki i wziął się do czytania dziennika.

— Niegodziwiec, rzekł Molard odchodząc, nie ma czasu do rozprawiania, a czyta dzienniki, tak ogromny nawet dziennik, nieszczęście że nie natrafiłem na odźwiernego krawca lub szewca, oni się zawsze wygadają. — Gdybym mu wsunął złotówkę byłby rozmowniejszy, ale nie głupim wyrzucić złotówkę, wolę ją zachować dla siebie, dosyć że wiem że p. Peronier jest oryginałem, przenosić się z piętra na piętro, — ale zobaczmy napis, — *Peronier ajent dawniéj przy ulicy Caire;* ha! do licha, tego właśnie mi trzeba, mieszkał na ulicy *Caire* biegniejmy tam.

Nie tak dawno mieszka przy ulicy Śgo Honorjusza aby zapomniano o nim na ulicy Caire.

Molard puszcza się w drogę, nie lęka się biegać, skoro idzie o dogodzenie ciekawości. — Przybywa na ulicę Caire według nadpisu. Tym razem znajduje młodą odzwiernę. — Dwoje malców bawi się na środku izdebki, trzeci syn w kolebce, a czwarte trzyma na ręce.

Molard pozdrawia odźwiernę, dzieci, nawet to co śpi w kołysce, i ogląda się na około czy nie ma więcéj kogo do pozdrowicuia. Tymczasem odźwierna nie przywykła do takiej grzeczności, głaszcze po łańcuszku od zegarka i odmyka do komody.

— P. Peronier, rzekł nareszcie Molard.

—Nie tutaj, panie, już wyprowadził się na ulicę Śgo. Honorjusza, oto jego adres.

— Tak... wiem—powiedziano mi że się wyprowadził.

— Ha... pocóż, tu pan przychodzisz?

Mówiąc to odźwierna depce prawie po nogach Molarda, znaglając go do wyjścia z izdebki, ale on drapie się do drzwiczek, a przypomniawszy że ma kawałek cukru w kieszeni, dobywa i daje go malcowi którego trzyma odźwierna na rękach, wołając.

— Sliczne dziecko, wykapany obraz matki. Kawałek cukru miękczy serce matki, która z resztą nie myśli źle o Molardzie, kiedy ten wyszedł już z izdebki, raczyła nawet podziękować

a Molard korzystając ze sposobności, pospiesza zawiązać rozmowę.

— Pani, przyszedłem tu aby powziąść niektóre wiadomości o panu Peronier który ma zaślubić pewną osobę wiele mnie obchodzącą, pojmujesz zapewne że w takim razie troskliwość nigdy nie jest zbyteczną.

— To co innego, wybacz pan, trzeba mię było pierwéj uwiadomić — teraz tyle kradzieży, tyle filutów wciska się do domów.

— Prawda, pani, trzeba być bardzo ostrożnym.

— Wczoraj skradziono psa odzwiernemu z pod piątego numeru.

— To niegodziwie.

— Pyszną sukę, pani opłakuje ją do dziś dnia, — pełna talentów, koloru żółtego, ogon biały.

— Ah to boleśnie, — ten pan Peronier.

— I do tego właścicielka wyexpensowała wiele na leczenie u pewnego lekarza psów.

— Nieskończenie nieprzyjemnie... ale ten pan Peronier...

— Przynosiła wszystko, skakała przez sznur z dzwonkami, i paliła jak jéj pan cygaro.

— To wiele na sukę, — jeśli ten pan Peronier jest pani znany.

— Ten człeczek wszedł jak wpan, pod pozorem,—ten co skradł sukę—biedne stworzenie kazano o niéj ogłosić w pismach, ale ba, więcéj jej nie zobaczą.

Molard nareszcie musi cierpliwie dosłuchać historji o zgubionéj suce, — w końcu rozpoczyna zapytania o p. Peronier.

— Moj Boże — rzekła odzwierna dozwalając malcowi tańczyć po nogach p. Molarda i ciągnąć mu za dewiski, nie wiele mu mogę powiedzić o panu Peronier, gdyż mięszkał u nas bardzo krótko trzy miesiące na 4tém potém 3 miesiące na Iém piętrze.

— Ach, ach! zajmował dwa pomięszkania.

— Tak panie, lecz nim tu zaczął mieszkać zajmował mieszkanie na ulicy Montholon, oto jest jego dawniejszy adres,

— Bardzo dziękuję — pójdę na ulicę Montholon.

Molard pospiesza a w drodze mówi sam do siebie: To pewna że ten pan Peronier ukrywa coś nadzwyczajnego. Zawsze sprowadzać się z piętra na piętro, to nie jest naturalnie. Ah gdybym mógł odkryć co jest powodem do zmieniania mieszkań—cierpliwość—przecież może trafię do końca.

Na ulicy Montbolon Molard zastaje odźwiernego niemca, z którym nie może się porozumieć, kiedy już ma oddalić się smutny, kucharka słysząca jego rozmowę, zawołała.

Pan pragnie dowiedzieć się o p. Peronier, młodym przystojnym mężczyznie.

— O tym samym mościa panno.

— Oh, przypominam go sobie bardzo dobrze. Ma na lewém uchu duże znamie.

—Nie uważałam znamienia, lecz...

Ah, to ten sam, mieszkał na piątym piętrze, miał pyszne pomięszkanie, ale tam bawił tylko 3 tygodnie, potem sprowadził się na 3. Jeśli pan chcesz więcéj się dowiedzieć, udaj się pan do pani Mutad, która pod nim zajmowała mieszkanie, ona zna dobrze p. Peronier.

—Bardzo dziękuję, sądzisz że pani Mutad może mnie przyjąć.

—Bez wątpienia, nie wychodzi nigdy, bo ma katar.

—A więc idę do niéj.

Molard porzuca kucharkę i idzie na schody; dzwoni na 2 piętrze, wychodzi młodsza i wprowadza go do swéj pani.—Pani Mutad jest już nie młoda osoba, wysoka, chuda, w ubiorze zachowująca modę z czasu konsulatu. Kiedy p. Mutad kaszle, Molard oczekuje cierpliwie aby jéj oświadczyć cel swéj wizyty. Oznajmia że jest bliskim krewnym osoby którą p. Peronier ma zaślubić, p. Mutad wskazuje na krzesło i nakasławszy się do woli, rzecze.

W rzeczy saméj, p. Peronier mieszkał przez 3 miesiące nademną: Jest to człowiek porządny, nigdy mnie nie minął nie pytawszy o zdrowie. Miał obejscie bardzo umiarkowane, nie widziano aby do niego przychodzili ludzie nie przyzwoici, zdaje się więc że to musi być poczciwy człowiek, jednakże...

—Jednakże zawołał Molard, któremu to słowo przywróciło nadzieję.

P. Mutad wachala się, Molard nalegał.

—Zdaje się że pani wiesz coś. Oh bezwątpienia; przez litość, nie racz nic taić przedemną.

—Panie,—to—...to—rzecz delikatna. Nie mogę jak tylko robić domysły, nie wiem nic pewnego.

—Mniejsza, wszystko co możesz powiedzieć pani jest szacowne. Z resztą można sprawdzić domysł łącząc okoliczności. Błagam cię nic nie ukrywaj, cała rodzina winna będzie wdzięczność.

—Panie, twoje nalegania nareszcie mnie decydują—powiem ci to co wiem sama.

—Cały przemieniam się w uszy.

—Pan Peronier mieszkał nade mną.

—Mieszkawszy pierwéj na piątem piętrze.

—Tak, mieszkał na 5 piętrze, lecz potem został moim sąsiadem. Lubię sypiać dosyć długo, lecz mój niegodziwy katar budzi mnie często w nocy i przeszkadza do uśnięcia.— Pan Peronier wszedł jak każdy do siebie, słyszałam jak drzwi zamykał, lecz śród nocy, kiedy powinienby spać spokojnie, gdyż nie ma kataru,

usłyszałam mocny łoskot nad głową, chodzono tam i sam, sądzę nawet że biegano po wszystkich pokojach. To pan Peronier robił ten chałas.

— Do djabła! śród nocy.

—Tak panie.

—I sam był u siebie.

— Zupełnie sam, przysięgał odźwierny.

—Pani nic nie odkryłaś?

— Kiedy usłyszała w nocy bieganie nad głową, nazajutrz pytałam p. Peronier czy przypadkiem nie zasłabł w nocy. — Ale mi odpowiedział sposobem przeczącym — i uważałam że zapytanie było mu nieprzyjemne.

—Oh to zaczyna być bardzo interesujące, kończ pani bardzo proszę.

— Nakoniec jednéj nocy... kasłałam mocniéj niż kiedy indziéj; — burza panowała. —Nie mogąc zasnąć słucham, aż aaczyna ktoś biegać u p. Peronier, potem otworzono drzwi do sieni— Gdzież on może iść, czy do piwnicy? ale on jéj nie ma.

Zdjęta ciekawością wychodze ze światłem, ale cóż widzę? na schodach o dwa kroki ode mnie p. Peronier w koszuli, z włosami w nieładzie nie mając czapki nocnéj na głowie... oczy obłąkane... i trzymając migotące światło a jego ręce drżały.

— Ah mój Boże! Ah mój Boże... to okropnie.

—Przyznaję, że bardzo się przelękłam.

— Było czego!..

— Pierwszy raz widziałam mężczyznę w koszuli.

— Pani się cofnęłaś.

— Nie, owszem się przybliżyłam, ciekawość podniecała odwagę. Skoro mnie ujrzał, p. Peronier się zmienił, — zdawało się że osłupiał. — Rzekłam mu wtenczas.— Ah mój Boże, mój sąsiedzie, gdzie chcesz iść w nocy, nie włożywszy... bótów.

Zadrzał, zaczął coś bełkotać, potem biegł po 8 i po 4 wschody na raz, i znikł, nawet mnie nie pozdrowiwszy. Nazajutrz dowiedziałam się że wymówił komorne, a wkrótce się wyprowadził.

— Ach pani, to nadzwyczajna historja.

— Nie lubię nic mówić tylko to co wiem dobrze.

— To dość —pani—ten człowiak jest winowajcą.

— Tak mniemasz pan.

— O ja wiem już wszystko — to przenoszenie się z piętra na piętro, zmiana mieszkań, nie dla czego innego jak tylko aby ujść baczności swoich sąsiadow.

— Doprawdy?...

— Tak pani, popełnił jakiś występek, który mu nie da w nocy spoczynku.

— Ah mój Boże, miałam więc zbrodniarza nad głową, drzę cała na wspomnienie, że pozbycie się jego winnam tylko memu katarowi.

— Eh pani, często małe przyczyny wydają wielkie skutki; co do mnie,oświadczam pani najmocniejsze podziękowanie za to coś mi powiedziała gdyż ta wiadomość ocali honor panny i uczciwéj rodziny.

— Bardzo sobie tego winszuję.

— Każ pani kupić śpiku z kości wołowéj, to bardzo pomaga na piersi.

— Jestem mu wdzięczna za jego dobroć, każę go dzisiaj jeszcze kupić.

— Molard opuszcza panią Mutad. —Uszczęśliwiony z powodzenia swych zabiegów, dla tego nie idzie, lecz biegnie, leci, aby jak najprędzéj przybyć do p. Bremont. — Wpada zadyszany do salonu gdzie się znajdują ciotka i synowica i rzuca się na krzesło wołając.

— Ah pani, przychodzę wyrwać was z niebezpieczeństwa.

— Wyrwać?.. rzekła Adela bynajmniéj nie zalękniona na ten wykrzyknik.

— Kto się utopił? rzekła głucha ciotka.

— I jakież to grozi nam niebezpieczeństwo zapytała Adela.

— Największe ze wszystkich, ten człowiek którego masz zaślubić.. ten Peronier, co przyznam, nie ma złéj miny na pierwsze wejrzenie,— Ah Adelo, gdybyś wiedziała...

— I cóż mój panie, zobaczemy, dokończ.

—Ah... on jest występnym..wielkim zbrodniarzem.

— Co zobaczono na niebie, zapytała głucha ciotka przysuwając swój rożek do ucha.

— Mości panie, rzekła Adela z miną surową, nim kto oskarża, powinien mieć dowody. Wytłomacz pan jaśniéj co wiesz o panu Peronier.

— Oh! to długa historja moja panno. Wiem naprzód że ten pan przenosi się z piętra na piętro — a potem w nocy nie sypia, lecz biega po pokojach z okropnym hałasem, jak potępieniec, nakoniec ścigany przez zmartwienia, wybiega w koszuli na schody... w tym nieobyczajnym stanie, wydaje przeraźliwe jęki. Oto wszystko com się dowiedział od pewnéj pani, co mieszkała obok niego na ulicy Montholon, która była naocznym świadkiem. — Idź pani teraz za mąż za tego człowieka...

Adela parsknęła śmiechem, i rzekła.

— I to jest wszystko coś pan wykrył.

—Wszystko... ale to dosyć zdaje mi się, aby

odstraszyć najodważniejszą od zamęścia, a potem chciéj zważyć.

Uważam mości Molard, że pan jesteś starym głupcem, bajarzem, co mi prawisz nie warto abym się tem na chwilę zajęła.

—Jakto? panno Adelo, kiedy cię zapewniam że p. Peronier.

—Jeśli się przeprowadza, to dla tego że go to bawi, jeśli chodzi po nocy bo mu się tak podoba, i jeżeli nie miałeś co więcéj mi powiedzieć, to szkoda twoich trudów.

— Obowiąznj że tu ludzi, rzekł sobie Molard, ażeby ci tak podziękowali. Z resztą Adela ma zapewne także swoje powody, ukrywając jakąś tajemnicę przed mężem—w każdym razie będzie to arcy szczególne w swym rodzaju małżeństwo jeśli tylko przyjdzie do skutku, bo pan młody musiał odebrać list ode mnie.

W rzeczy saméj p. Peronier odebrał list, lecz nie dając mu wiary jak zasługują na to wszelkie bezimienne listy, rzucił go w ogień, i tegoż jeszcze wieczora znajdując się u swéj narzeczonéj był jak zwykle wesoły i przyjemny. Oboje przyszli małżonkowie uśmieli się do woli, z a-

negdoty opowiadanéj przez Molarda, o pewnym jegomości, który dla tego zerwał małżeństwo, że ojciec panny młodéj zamiast dać meble machoniowe dał orzechowe, i nigdy bardziéj nie pragnęli prędkiego się połączenia.

Molard przeklinając w duchu upór państwa młodych, miał nadzieję, że w dniu odbycia się obrzędu kościelnego, małżeństwo zerwane zostanie; lecz dzień ślubu nadszedł, goście się zebrali i pojechano do kościoła.

— Ona zasłabnie, mówi do siebie za każdym razem Molard, jestem pewny że panna młoda nie wytrzyma obrzędu... zemdleje, a przyszedłszy do przytomności, zerwie małżeństwo.

Ale ceremonja się odbyła, Adela nie zemdlała. Wesele odbyło się bez przypadku. — Wieczerza, bal, wszystko przeszło dobrze; nowożeńcy byli weseli, przyjemni — wszyscy mówili, ach jak pięknie połączona para, powinni się kochać.

Molard się kręci i mruczy. — Otóż się pobrali, ale zobaczemy.

Pierwsze dni po ślubie nazywają miodowe i słusznie, bo wtedy wszystko słodkie, wszystko

miłe. Oboje nowożeńcy kochając się żyli z sobą bardzo spokojnie i nic ich życia nie zasmuciło.

Jednakże Peronier kochając żonę aż do zazdrości, jeśli przypadkiem rzuciła wzrokiem ną młodego mężczyznę, przypomniał sobie bilet, w którym mu donoszono o Adeli, że ukrywa jakąś tajemnicę zgryźliwą, co znaczyło, że popełniła jakiś błąd, a łatwo domyśleć się jaki błąd mogła popełnić przed zaślubieniem młoda i piękna dziewczyna.

Z drugiéj strony Adela, bez dania wiary, przypominała sobie to, co jéj Molard prawił o mężu, o nieustanném przenoszeniu się z piętra na piętro i o jego nocném bieganiu.

Chociaż w potwarzy przesadzonéj, zawsze da się poznać śmieszność i bezzasadność, jednakże mimo tego, zostawia ona po sobie ślad i jakąś pamiątkę.

Pierszym warunkiem potwarzy jest zwrócenie uwagi na okoliczność mało znaczną, która kiedy indziéj nie byłaby uważaną.

Dla tego w kilka tygodni małżeństwa, Peronier uważał, że żona kilka razy się mieniła, siadając do stołu, pod pozorem słabości.

Z swéj strony znowu Adela uważała że jé mąż często wstawał w nocy, a kiedy się prze-j budziła i zapytywała czyli nie zasłabł, Peronier zdawał się być zakłopotany i odpowiadał dwójznacznie.

Nakoniec pewnego dnia, w znacznėm zgromadzeniu, Adela nagle utraciła przytomność, rzuciwszy pierwéj wzrokiem na młodzieńca obok siedzącego, a przyszedłszy do siebie, nie chciała dłużéj pozostać w towarzystwie, dając za powod swéj słabości nadzwyczajne zmęczenie z upału.

Peronier stracił wtedy humor wesoły, przeklinał list bezimienny, a który wtedy sobie przypomniał i mniéj był przyjaznym z żoną chociaż ją jednakowo kochał.

Potem w burżliwéj bardzo nocy, Adela słyszała że jéj mąż często wstawał, a nazajutrz oświadczył jéj że się wyprowadzą gdzie indziéj.

— A to dla czego? zapytała Adela, przypominając sobie natychmiast słowa Molard, ale Pe-

ronier przeszedł się po pokoju zakłopotany, nareszcie wychodząc powtórzył.—Musiemy się ztąd wyprowadzić.

Od téj chwili Molard, co nie przestawał bywać u pani Bremont, i grać z nią w rumel pikietę, oświadczając terc-major miał zawsze na oku nowożeńców i z rozkoszą uważał, że miłość małżeńska co dzień między niemi bardziéj stygła, że pewna obojętność zastępiła miejsce dawniéj wesołości i wylania. — Molard zacierał ręce z radości i mówił do siebie — to jest coś między niemi — to niepodobna ażeby coś nie zaszło.

Zwykle lubiemy mówić o tem co nas zajmuje, dla tego pewnego wieczora podczas nieobecności męża rzekła Adela do Molarda.

— To szczególna, p. Peronier chce zmienić mieszkanie.

Aha, to początek! — zawołał Molard porywając się z radością ze stołka, przepowiedziałem to pani.

Lecz panie Molard, jakże myślisz o moim mężu? bezwątpienia, on zawsze jest przyjemny

zawsze mnie kocha... nie mam mu nic do wyrzucenia.

— Kocha... cóż o tém przekonywa? wielcy zbrodniarze starają się zawsze udawać rozkochanych.

— Ach panie Molard — mniemasz?

Że mąż pani dręczony będąc zgryzotami, nie może znaleść sobie miejsca spoczynku i jak błędny żyd, zmienia siedziby... miejsca..

— To niepodobna...

— Nakoniec, dla czego chce się wyprowadzić, jakież dał do tego powody?

— Ah, nic nie wiem.

Spodziewam się że ich nie chciał wyjawić, a.. dla czegóż w nocy wstaje.. hę.

— Lecz... ja...

— Także ukrywa przed panią, lecz twoje zakłopotanie lepiéj wszystko objaśnia; biedna żono, uprzedzałem — wzgardziłaś memi radami...

Drzę na wspomnienie co jeszcze może nastąpić — na pani miejscu kazałbym natychmiast postawić dwa łóżka.

W kilka dni potém Peronier znajdując się sam na sam z Molardem rzekł do niego.

— Znasz pan dawno moją żonę?

— Oh bardzo dawno.

— Czy prawda że Adela miała kilkakrotnie zerwać napięte małżeństwo.

— Bezwątpienia.

— Jakaż może być tego przyczyna.

Żadna, oprócz jéj woli — i wszystko pokryte było niedocieczoną tajemnicą.

—Lecz pan, najdawniejszy przyjaciel domu, jakież jest pańskie zdanie.

—Moje zdanie— nie śmiem go wyjawić, wszystko co wiem jest to, że nie chciałbym nigdy zaślubić kobiety, co podlega podobnym słabościom, to nie robi nic dobrego mężowi.

Niegodziwe poduszczania Molarda nie mogły przywrócić dobrego porozumienia między nowożeńcami. —Dla przypodobania się mężowi, Adela godzi się na zmianę pomieszkania, lecz on wkrótce o nowem napomyka, młoda małżonka zaczyna się na prawdę niepokoić — Peronier staje się zazdrosny; ponieważ żona zbladła na w

dok pięknego młodzieńca; Molard oczekuje z radością jakiéj gwałtownéj sceny, tylko stara i głucha ciotka o nic się nie troszczy.

Piękna pora roku nastaje i wypędza na wieś wszystko co może miasto opuścić.

Pani Bremont posiada domek wiejski w okolicach Montmorency — Nowożeńcy postanawiają przepędzić w nim jakiś czas; dla uprzyjemnienia go staréj ciotce, zapraszają Molarda który przyjmuje zaproszenie, bo zdołał stać się przyjacielem męża i żony,

Oboje przechadzają się pod cieniem pięknych topol, a w tém wiatr zaszumiał, podobny do szumu dalekich bałwanów morza.

Peronier przyciska rękę swéj żony, mruczy coś niezrozumiałego i uprowadza ją do domu. Adela nie może pojąć jego postępowania i pierwszy raz po ślubie ośmiela się zapytać.

—Wiejska okolica nie podoba ci się mój mężu.

— Nie... nie, przeciwnie, znajduję ją bardzo rozkoszną.

— A dla czegóż zniewalasz mnie abyśmy wrócili tak prędko do domu, dla czego jesteś tak

niespokojny, i wzruszony, oglądaasz się na około.

— Ja ..niespokojny... bynajmniej...

— Tak mój przyjacielu, z resztą od niejakiego czasu uważam że nie jesteś ten sam ze mną. Masz coś, ukrywasz jakąś tajemnicę.

—Nie—nie pani—to ty masz tajemnice, i nie jesteś dla mnie otwartą.

—Ja mości panie, a któż cię natchnął tą myślą.

—Ah! ja także uważałem... wiem dobrze żeś nie wszystko wyjawiła zaślubiając się ze mną.

—Co to znaczy, mości panie.

—Dosyć—pani—czas wyjaśni moje podejrzenia. Małżonkowie się opuścili sami z siebie niekontenci, a Molard słysząc ich sprzeczkę zacierał ręce bardziéj niż kiedy indziéj.

Obiad smutny—Adela zadumana, Peronier wzdycha patrząc na żonę. Na wieczór Molard proponuje przechadzkę po ogrodzie, lecz gwałtowny wiatr świszczy, drzewa przepowiadają burzę.

—Obawiam się burzy — rzekła Adela, sądzę

że lepiéj w domu pozostać—cóż myślisz mój przyjacielu.

Peronier zdaje się być wzruszony, drżący przechodzi się wielkiemi krokami po pokoju. Adela spogląda z niespokojnością na Molarda. Molard wznosi oczy do nieba, a stara ciotka bawi się ciągnieniem z kart pasiansu.

Tym czasem uwiadamiają o przybyciu p. Luceval, młodego artysty, który obok ma posiadłość, uwiadomiony o bytności p. Bermont i siostrzenicy na wieś, jako sąsiad przyszedł złożyć im swoje uszanowanie—lecz zaledwie usiadł obok Adeli, kiedy ta pada z przerażeniem i traci przytomność.

Stara ciotka biegnie do synowicy, Molard krzyczy, a Peronier ratując żonę spogląda podejrzliwie na przybyłego młodzieńca.

Przenoszą Adelę do sypialni, gdzie przycho dzi do siebie, lecz nie chce powrócić do salonu.

—Mościa pani rzekł Peronier z gniewem, wytłómacz się z twego postępowania.

—Jakto panie?

Te mdłości nie są naturalne. Znasz młodzieńca co do nas przyszedł?

—Tego młodzieńca pierwszy raz widzę, przysięgam.

— Oh, nie sądź abyś mnie zwiodła, lecz dowiem się o wszystkiém i pomszczę mój honor.

Adela chce odpowiedzieć, ale Peronier nie słucha żony, wraca do salonu, młody sąsiad jeszcze nie opuścił pani Bremont i dopytuje o zdrowie Adeli, bardzo żałując że ich znajomość zaczęła się pod tak nieszczęśliwą wróżbą,

Peronier zaledwie odpowiada młodzieńcowi, jego czoło pokryło się chmurami, a w oku błyska ogień zazdrości. W kilka chwil p. Luceval żegna się, uprzedzając że wróci wkrótce dowiedzieć się o zdrowiu pani Peronier.

—Co myślisz o tem, rzekł Perronier do ucha Molardowi.

—Myślę że na twojém miejscu żądałbym rozwodu.

Perronier milczał, a towarzystwo wkrótce się rozeszło. Nadeszła noc, wiatr coraz się wzmagał gwałtowniéj.

Adela obudzona szuka męża, lecz go nie znajduje, zadziwiła się mocno, i wkrótce z przestrachem po kilka razy woła: *Perronier*, a nie odbierając odpowiedzi wstaje, wdziewa szlafrok i bierze światło, z zamiarem wyszukania małżonka. Wychodzi na wschody i woła, lecz zamiast męża pokazuje się Molard i zapytuje co się stało.

— Nie wiem co się dzieje z moim mężem, rzekła Adela, gdzież może być o 3 godzinie z rana — i pod czas tak gwałtownego wichru.

— Twój mąż jest potępieniec, odpowiedział Molard nie może znaleść sobie miejsca, nie podobna aby nie popełnił jakiéj zbrodni — ale oto — patrz w ogrodzie, księżyc świeci dosyć aby można rozpoznać—ten człowiek co biegnie pod altaną, jest twój mąż.

—W rzeczy saméj, o mój Boże i cóż on robi w ogrodzie... o tym czasie! Gdybym poszła do niego.

— Chroń cię Boże, on jest właśnie w stanie kryzys, mógłby ci uszkodzić. Wiesz pani,

kaź urządzić dwa łóżka, nim przystąpicie do rozwodu.

Adela wraca do sypialni, chce czekać na męża, lecz wkrótce sen przemaga i skleja jéj powieki.

Nazajutrz pan Peronier zeszedł już do salonu nim Adela się ubrała. — Młoda małżonka cała zajęta nowem zdarzeniem, chce rozmówić się z mężem w tym przedmiocie na osobności, spieszy do salonu, lecz juź nie zastała męża, tylko Molard przerażony zwiastuje jakiś nadzwyczajny wypadek. — Postępuje do Adeli z palcem na ustach i mówi przytłumionym głosem.

— Czekałem na panią.

— Cóż się stało — jakże wpan drzysz.

— Co się stało... wiem wszystko.

— Wiesz...

—Co twój mąż robił na wsi wśród nocy.

— Czy może być—i cóż?

——Nieszczęśliwa kobieto —zadrzysz, ja sam czuje że mi włosy wstają na głowie.

— Ah mój Boże, mów... mów... przez litość.

Trzymaj i patrz...

Molard pokazał kapelusz męzki i chustkę zakrwawioną.

— Co to jest! co to jest! przez Boga.

— Kapelusz i chustka p. Luceval... oto znaki krwi na chustce i jego nazwisko na kapeluszu.

— I cóż.

— Co... znalazłem kapelusz i chustkę ztąd o kilka kroków, pod lipami. — Wczoraj twój mąż zamordował młodzieńca, a w nocy zajmował się bezwątpienia zatarciem śladów téj swojéj zbrodni.

Ach co za zbrodnia... mój mąż mordercą! — i dla czego.

— Zazdrość. — Zemdlałaś pani wczoraj patrząc na pana Luceval... twój mąż odkrył wasze tajemne związki.

— Jakto, mości panie —mój mąż mógłby sądzić.

Ach to okropnie...

—Bezwątpienia że to okropnie — co do mnie idę zanieść te rzeczy do mera miejscowego dla dochodzenia sprawy morderstwa.

— Ach panie Molard, zatrzymaj się.

Molard miał wychodzić, kiedy wszedł do salonu Peronier, — Ujrzawszy męża, Adela biegnie rzucić się w jego objęcia, i ze łzami w oczach woła.

— Ah mój przyjacielu, jeśli w istocie jesteś winnym, chroń się... uciekaj... nie czekając aż cię uwiężą. .

— Mnie uwiężą... rzekł Peronier z podziwieniem, a za co? jakąż zbrodnię popełniłem?

— Pan Molard zapewnia żeś zabił tego młodzieńca, naszego sąsiada... ach czy dla tego biegałeś w nocy jak szalony... samam cię widziała... Ach mój przyjacielu, prawdaż to że masz zgryzoty które ci nie dadzą w nocy spoczynku i znaglają do zmieniania bezustan nie pomieszkań.

P. Peronier nie mógł już wytrzymać, zaniosł się głośnym śmiechem, tak dalece że aż usiąść musiał. Adela zdziwiła tak nagłym wybuchem wesołości, i rzakła znowu.

Co do pana Luceval... jeśli to jest prawda że z jego przyczyny ogarnęła cię zazdrość, jeśli mogłeś rzucić tak ohydne podejrzenie, ponieważ zasłabłam spojrzawszy na niego, w takim

razie muszę ci objawić moję słabość... moję tajemnicę, chociaż czuję że się wyśmiejesz ze mnie, a wiesz że dla kobiety okropną jest męczarnią zostać przedmiotem żartów i pośmiewiska.

— Ach mów droga Adelo — zawołał Peronier obejmując ręce Adeli w swoje dłonie... te mdłości których przyczyny nzpróżno męczyłem się wynaleść.

Ach mój przyjacielu — one zawsze były skutkiem widoku jakiegoś przedmiotu na krzyż złożonego. — Odtąd jak przyszłam do rozumu, nie mogę znieść krzyża bez wpadnięcia w mdłość; przy stole, dwa noże, dwa nakrycia złożone na krzyż odejmą mi chęć do jedzenia, lecz nade wszystko sprawia mi słabość widok człowieka z założonemi na krzyż nagomi, wtenczas nie mogę wytrzymać, tracę przytomność, i czuję na zawsze do tego człowieka wstręt niezwyciężony.—Miałam iść trzy razy za mąż, lecz w chwili ukończenia, dostrzegłam, że mój narzeczony nogi na krzyż założył, odtąd nie chciałam o nim słyszeć. —Oto, mój przyjacielu szczere wyznnanie które ci się zdaje płoche, dziwac zne, śmieszne, przyznaję, lecz w gruncie przyrody

istnieją rzeczy, są w naszéj duszy uczucia, których rozum nie zdoła zwalczyć uściskał p. Peronier swą żonę, a potem rzekł.

— Jeśli ty masz wstręt do krzyżów, ja czuję nieprzezwyciężony strach od wiatru. Tak, strach, nie co innego, a przecież dałem dowody nie raz że nie jestem bojaźliwy—lecz wiatr wywiera na moje zmysły tak okropny skutek, drżę, cierpię, nie mogę pozostać na jedném miejscu.—Jeśli często się przeprowadzałem, to dla tego abym nie słyszał wiatru—jeśli wstaje w nocy z łóżka, to dla tego że słyszę świst wiatru, wtenczas biegam jak szalony dla uniknienia szumu który mnie sciga i do rozpaczy przywodzi. Oto jest moja luba żono przyczyna dla któréj i téj nocy biegałem po ogrodzie. Będziesz się śmiać że mężczyzna boi się wiatru, lecz odeprę twoje żarty własną twoji bronią—bo nie jesteśmy panami swych uczuć Henryk III nie mógł być w pokoju gdzie kot się znajdował. Książę Eperon mdlał na widok egawca.

Władysław Jagieło król polski uciekał na widok jabłek. Erazm Roterdamczyk nie mógł wąchać ryb bez doświadczenia febry. Kanclerz Ba-

kon wpadł w mdłości ile razy przypadało zaćmienie księżyca. Bayle dostawał konwulsji kiedy słyszał spadającą wodę z wysoka. La motte Levayer nie mógł słuchać dźwięku żadnego instrumentu, podług tego moja przyjaciółko, dosyć jesteśmy poziomi w porównaniu z tak wielkiemi ludźmi abyśmy sobie naszych błędów nie darowali.

Adela upojona radością z powodu wyznania męża, które jéj wróciło spokojność i szczęście, zawołała! A cóż Molardzie, co to miałeś w podejrzeniu męża że zabił p. Luceval przez zazdrość.

Molard zwiesił nos na kwintę, jednak oglada kapelusz i chustkę z niedowierzaniem. Lecz w tém drzwi się otwierają i wchodzi młody sąsiad dla dowiedzenia się o zdrowiu p. Perronier oraz dla wyszukania kapelusza który w czasie burzy zgubił w ogrodzie ocierając się z powodu płynienia krwi z nosa.

Molard zawstydzony—i przez złośliwość oraz dla doświadczenia czy Adela powiedziała prawdą, zakładą na krzyż nogi—pani Perronier czuje się słabą, lecz jéj mąż chwyta Molarda za ramię i prowadząc go do drzwi, bardzo grze-

cznie prosi aby u nich nigdy nie postał. To dobrze, zawołał Molard odchodząc, musisz za mnie grać z ciotką rumel pikietę.

Wolę to robić, rzekł Perronier, jak przyjmować fałszywych przyjaciół, potem wraca do żony i mówi: Odtąd żadnych między nami tajemnic, przebacz mi wiatr, ja ci krzyże przebaczę.

Odtąd panował pokój między małżonkami, gdyż aby być szczęśliwym w małżeństwie, trzeba wzajem przebaczać swojéj słabości.

PIOSNKA WARJATA. (*)

Piewcze, co tak śpiewasz smutnie?
—Wiatr mi strzaskał moją lutnię.

W koło tu tak pięknie, w koło tak przy-
jemnie,
Takie modre niebo tak na ziemi ładnie,
A jednakże boleść dręczy mię tajemnie,
Czemu ja tak smutny, może kto odgadnie?

(*) Pisane wierszem trochaicznym.

Jakaś myśl mi czaszkę jakby rozgą smaga,
Jakaś ckliwość z serca ciągle krew wypija.
Rożne biorę leki, żaden nie pomaga,
Czaszkę myśl wciąż pali, serce ból obwija.

Wczoraj w poświęconéj, myłem się krynicy,
Dzisjaj u staregom radził się pielgrzyma,
Woda nie pomogła, pielgrzym z lubej licy,
Kazał brać lekarstwo, ale lubéj nie ma.

Znałem ja dziewczynę, znałem ja anioła,
Los nas dwoje złączył, jak widziałem
w morzu,
Z różnych brzegów zdjęte raz połączył
zioła,
Zetknął, związał liściem, i gnał po prze..
stworzu.

Gnał przez cztery chwile, —potem precz na
wieki,
Rozwiał znów od siebie nie słuchając żali,

Wzrok ich jeszcze łączy — lecz prąd gna daleki,
Już za małą chwile, zgubią się w oddali,

O tak, ja widziałem, znałem takie kwiatki,
Ten co płynął przy mnie, miał korzenie sprute,
Korę na poł zwiędłą, liście jak opłatki,
Zżółkłe i zasechłe, w pajęczynę wsnute.

Biedny!... nie chcę wspomnień, — Dosyć dla was tyle,
Ona i ja, oto kwiaty méj powieści.
Słusznie, by kto w szczęściu przeżył cztery chwile,
Także i przecierpiał jeden wiek boleści.

Ale ona, ona!—Zawsze mi po głowie
Snuje się jéj obraz. —Krepą czarną kryta,
W długiéj czarnéj sukni, i z tym smutkiem w mowie,
Piękna jak aniołek lecz nie jak kobiéta,

Przed nią idzie truna, palą się pochodnie
Wiatr całunem wije — dzionek się wieczerni,
Pieśni do snu wieków, nucą księża zgodnie,
A od tyłu koczów długi rząd się czerni.

Oto jéj wspomnienia. Jak obłoki krwawe,
Co się palą nie raz, po pogodnéj dobie,
One mi zostały, i choć smutne, łzawe,
W głębi jednak serca zachowałem sobie.

Nie raz gdy mi smutno, gdy lub ludzie zranią,
Lub też zbytek czucia, biedną pierś ugniecie,
Nie raz łzę upuszczę, kiedy wspomnę na nią
A wy wiecie jak to droga łza na świecie!

Piekło, piekło duszy! gdy w niéj myśl się wędzi,
W piersiach płacze pisklę; woła pierś ratunku!...
Rozum zaś przemierza, czucia w ciasnéj piędzi,

Kąsa zwolna serce gdy tak ma z rachunku.

Po co rozum młody. Wieczne jego hasło,
Męczyć młodość, dziką potępiając miłość,
Dusić słońce złudzeń by czem prędzéj
zgasło,
Zabić urok, szczęście, cisnąć w książ za-
wiłość.

Zrobić mądrym, zimnym, i nie czułym na nic,
Kazać mierzyć wszystko, wszemu milczyć
kazać,
A pożarłszy czucia, w wielki świat bez
granic
Cisnąć jakby kamień —lub z nieba wymazać.

O! szczęśliwy z ludzi, komu świat się
śmieje,
Komu wolno sercem tykać jego łona,
Kogo wzywa przyszłość, luba i nadzieje,
Przyjaciele, ziemia wiosna, nie zwiędnieje.

On szczęśliwy jeszcze, kiedy płacze nawet,
Łza mu spada z oka, jakby czerw boleści,
Jego dumna litość, dana w cierpień zawet,
Słodko lecąc w piersi — nie drze ale
pieści.

B: Korab.

PRZED JEJ OKNEM. (*)

Wie freut es mich in dunkeln Abdendstuden,
Vor deinem hellen Fenster, still zu stehn,
Müler

Ja lubię zawdy wieczór przy zachodu łunie,
Oparty o drzewinę cichy jak wspomnienie,
Gdy śnieżna twoja rączka płótna w górę sunie,
Zawiesić w roztworzonem oknie me spojrzenie,

(*)Wiersz Jambiczny 6scio stopowy—u nas czasami mogę dwa ampchibrachy zastąpić 3 trocheje lub jamby.

Ty siadasz wtedy zwykle, sama, niewzruszona,
Z zrenicą tkwiącą w niebie, i schyloną głową,
Jak gdybyś z kwiatkiem małym, co ci jest u łona,
Bawiła się milcząca tajemną rozmową.

Ja stoję. Na przemiany, echo szczęścia żali,
Ogniste czucia, chęci, mącą mi się w łonie;
Ty patrzysz—może nie wiesz jakim ogniem pali,
Spojrzenie twe gdy padnie na me biedne skronie.

A jednak patrz aniele! Słodki ból dla ciebie,
Ja nurkiem pójdę igrać, śród twych ocz płomienia,
Gdy los już nas rozegnał, z daleka od siebie,
Czyż mogę czego więcéj żebrać prócz spojrzenia?

Lecz nie, mnie słodko, lubo, jakbym nie był z świata.
I w piersiach tylko uczuć dziwnych krąży tyle,

Jak dziwnie jakaś boleść i radość się splata,
Że mogło mi się przykro zrobić coś na
chwilę...

A teraz... Dosyć serce, nie bij z taką mocą,.
Obejrzyj się —nad tobą niebo tuż się chyli,
Na niebie złote gwiazdy—silnie tak migoczą.
Ej one ciebie porwą; ciszéj, już nie kwili.

B. Korab!

WIESZCZKA

Z PALMA.

(*Powieść Alexandra Dumas.*)

Kilka jest rodzajów odbywania przejazdki z Neapolu do Sycylji, ale najdogodniejszy dla podróżnych, którzy tylko dla rozrywki pragną zwiedzić tę wyspę, jest najęcie małego statku żaglowego, a za kilka dukatów na dzień, cała

osada nie wyłączając kapitana, z duszą i ciałem należy do wynajmującego.

Obraliśmy wymieniony dopiero sposób, ; dzięki modłom do Madony *del pie della grotta*, pod której opieką zostawał nasz statek, we trzy dni znaleźliśmy się w porcie meseńskim... Spokojna odwaga kapitana dowodzącego statkiem, zachęciła nas do odbywania morzem dalszéj podróży, w celu opłynienia na około téj czarownéj wyspy; przedłużyliśmy więc naszą umowę,, i wiosła na nowo zapieniły morskie wody.

Śpiew majtków slizgał się po falach z taktowem uderzeniem wioseł. Jadin mój towarzysz podróży. szkicował bazalty Strombalino, a ja oparty na łokciu śledziłem wzrokiem po morskiéj karcie, radząc się, jaką nam wypadnie przedsiewziąść drogę z Mesyny do *Castro Giovani.* — Śród tego zatrudnienia podniosłszy głowę ujrzałem, że znajdujemy się na wysokości przylądka *Blanco*, wracając do mappy dostrzegłem prawie na dwie mile od nas naznaczone miasteczko Bauzo.

Nazwisko to obudziło we mnie pewne wspo-

mnienia, kiedy śród pogodnych gwiazdzistych nocy błąkałem się po morzu i rozciągniony na pokładzie w swobodnym wypoczynku słuchałem dziwnych powieści, z któremi łączyło się nazwisko tegoż miasta.

Ledwo ostatnie tchnienie ulubionéj piosnki skonało w oddali na wilgotnych zwierciadłach morza, kiedy przywołałem kierującego statkiem.

— Nakazał on natychmiast milczenie, a zdjąwszy swą frygijską czapeczkę, przystąpił do mnie z pewném uszanowaniem, co u majtków i żołnierzy jest zwyczajne, lecz nie jest oznaką uniżenia.

— Signoro mnie wołałeś?

— Tak, mości kapitanie.

— Jestem na wasze rozkazy.

— Zdaje się, że pewnego dnia czyli nocy, nie pamiętam kiedy, opowiadałeś mi historją, gdzie była wzmianka o miasteczku Bauzo.

— Historją o bandycie.

— Tak.

To nie ja, lecz Pietro — odparł kapitan i obróciwszy się zawołał na majtka.

Pietro przyszedł. — Był to człowiek blisko

5 stóp wysoki, lecz mocno zbudowany, postać krępa, Araba, a oczy pałające Sycylijczyka — Pietro był jednym z tych którzy nieznają w życiu kłopotów, ponieważ umiejąc po trochu ze wszystkiego, o resztę się nie troszczył, a takich ludzi wesołość nigdy nie odstępuje. — Na małym statku, Pietro był cieślą, krawcem, cyrulikiem, rybakiem i kucharzem, do tego posiadał zręczność opowiadania i tańczenia tarantelli tak długo, dopóki siły mu wystarczały.

Skoro go zawołał kapitan, Pietro mniemał że chodzi o taniec, nie czekając więc długo zaczął nucić śpiew taaantelli.

Nie idzie tu o taniec, rzekł kapitan —Signoro pragnie abyś mu opowiedział zdarzenie w Bauzo.

Oh! zawołał rubaszny majtek — tak, powiem o Pascalu Bruno, śmiałym bandycie. Znam wszystkie szczegóły doskonale, pamiętam nawet gdy jeszcze byłem tak mały, jak kordelas naszego dowódcy, kiedy Bruno, obawiając się przepędzić któréj nocy u siebie, wtenczas

przychodził do mego ojca na nocleg, bo wiedział że poczciwy rybak go nie zdradzi. — a jednak jego głowa wartała 3000 piastrów.

—Wiem dobry majtku, opowiedz mi jego historję.

—Historja o bandycie Bruno jest przy długa i wszystko kończy się na tem, że był zaczarowanym.

— Jakto zaczarowanym?

—Tak — uczynił przymierze na pewien czas z szatanem, a wtedy ani kula ani sztylet szkodzić mu nie mogły.

—Więc nie wątpisz, że można wchodzić w związki z szatanem.

—Nie inaczéj, spytaj się pan o to naszego kapitana.

— Bezwątpienia, odrzekł poważny marynarz, oto jest dowód, że gdy wieszano Bruna w Palermo, szatan tak okropnie krzyczał wychodząc z ciała rozbójnika, że mój ojciec, który był wówczas dowódcą milicji i znajdował się przy wykonaniu wyroku, uciekł ze strachu na czele

swéj kompanji, a nawet w nieładzie stracił brylantowe sprzączki od paradnych trzewików. Pamiętam to dobrze, bo mi o tem nie raz powtarzał.

—Uważaj pan, czy teraz masz jeszcze ochotę słuchać całéj historji o Pascalu Bruno. A jeśli koniecznie chcesz się przekonać że można być oczarowanym, to powiem historją o wieszczce z Palma, która daleko jest krótszą i więcéj interesującą.

—Nie inaczéj, wolę o wieszczce, odparłem z niecierpliwością. Siadaj tu Pietro obok, i zacznij swoją powieść.

Pietro spojrzał na swego dowódcę, który odchodząc, skinął na niego, zapewne na znak zezwolenia, a potem przysunąwszy sie do mnie po chwili namysłu i milczenia, tak prawie mówić zaczął.

—Kapitan Arena, stryj naszego dowódzcy, był to 22 letni młodzieniec, posiadał statek na którym prowadził handel wzdłuż brzegów.— Wkrótce po rozpoczęciu handlu, zaślubił dziewczynę z wioski della Pace, nie daleko Messyny, gdzie przez trzy dni bywaliśmy weselne

gody, czwartego, w niedzielę, popłynęliśmy na jezioro Pantana. Właśnie w ten dzień odbywała się procesja do Sgo Mikołaja, było to więc święto uroczyste, w którém palą światła, puszczają sztuczne ognie, strzelają i tańcują. Antonio, ten sam kapitan, podawał właśnie rękę swéj nowo zaślubionéj żonie, kiedy uczuł, że go ktoś pociągnął z tyłu wołając po nazwisku. — Obrócił się przeto i ujrzał kobietę w zasłonie czarnéj, jakiéj zwykle używają młode Sycyljanki, kiedy wychodzą na uroczystość.

Antonio mniemał że się myli, poszedł więc w dalszą drogę, kiedy w kilka minut powtórzyło się wezwanie, wtedy zniecierpliwiony rzekł do mnie, Pietro, zostań z moją żoną, widzę pewną osobę, która chce na osobności ze mną mówić. — Nie dałem sobie tego powiedzieć dwa razy, zająłem miejsce obok młodej małżonki kapitana, kiedy on tymczasem poleciał jak strzała.

Idąc jak paw napuszony z żoną naszego dowódcy, zaszliśmy nareszcie gdzie brzmiała muzyka.

Jakby na pokusę grano ulubioną tarantellę, wiesz pan, że nic nie zdoła mnie wstrzymać, kiedy usłyszę lubą melodją, nie czekając przeto długo, zaprosiłem moją towarzyszkę do tańca, wkrótce otoczyli nas widzowie, tańczyłem zapamiętale, kiedy śród rozkosznych skoków spostrzegłem twarz kapitana, ale tak bladą, ach panie, tak bladą, że zakręciło mi się w głowie, upadłem jak długi na nogi Nunzia.

— Ah przebacz, rzekłem do mego towarzysza, i zastąp mnie w tańcu na chwilę. — Majtkowie zwykle są grzeczni w takim razie. Nunzio więc bez namysłu, mimo bulu i prawie na jednéj nodze zaczął skakać i kręcić się naprzeciw żony kapitana, ja wysunąłem się za koło.

— I cóż rzekłem do Antonio, któż to był, co wymagał tajemniczéj rozmowy.

— Widziałem ją — odparł pomieszany kapitan.

— Kogo?

— Gulją.

— Piękną wieszczkę?

— Tak....

— I cóż wam powiedziała?

— Nic —same niedorzeczności.

— Kocha cię jeszcze, kapitanie?

— Nie wiem, lecz popełniłem głupstwo idąc do niéj,—gdzie jest moja żona?

— Czyliż nie widzisz, tańczy z Nunziem tarantallę.

— Czy prawda — Pietro, co o niéj mówią?

— O waszéj żonie?

Nie, o Gulji — — Jak mniemasz, jestże ona wieszczką?

—Éj —mówią że w Palma wszystkie dziewice są czarodziejki.

Kapitan potarł czoło, po którem duże strugi spływały. — W téj chwili skończył się taniec, jego żona wróciła — Antonio pragnął natychmiast odejść do domu, bo nowożeńcy lubią często zostawać sam na sam, przy odejściu kapitan uczynił znak który dobrze zrozumiałem, wkrótce każdy z nas poszedł w swoją stronę

tak dobrze jak gdybyśmy się nigdy nie widzieli.

— „Ależ Pietro, powiedz mi, co to za Gulja" była, która napastowała kapitana Arena.

— „Zaraz powiem. — Przed rokiem podczas uroczystości w Palma, kapitan Antonio Arena, ten sam stryj naszego.

— Rozumiem —już mi to powiedziałeś.

—Otóż Antonio, mimo naszéj rady ujął się za dziewczyną ktorą pewien majtek znieważył. — Zaczęło się od słów a skończyło na pchnięcij nożem, który zostawił po sobie ranę, ani mnié ani więcéj jak trzy cale szeroką; szczęściem że sprawéj strony, bo gdyby z lewéj, natenczas byłoby już po nim.

Po tak fatalnym końcu, zaniesiono kapitana do starej kobiety, gdzie przywołano lekarza, oh i jeszcze jakiego!... Gdyby on żył na wielkim świecie, zrobiłby niezawodnie majątek, ale na wsi, to co innego; tam nie wiele chorują, a potem najczęściéj bez recepty na tamten świat się wyprawiają, biedny przeto lekarz tak dobrze kuł konie, szynkował wino, jak pisał recepty.

Skoro tylko ujrzał kapitana, włożył swoje trzy palce w jego ranę i rzekł poważnie: Wszyscy lekarze z Cantazaro i Cosance nic tu nie pomogą, — człowiek ten został zabity, obróćcie go więc nosem do ściany i niech sobie spokojnie umiera.

Z całéj téj rozmowy nasz biedny kapitan ani słowa nie mógł słyszeć, bo sobie leżał bez przytomności, a jednak cierpiał jak na śmierć skazany. — Co powiedziano to się i stało, — stara zapaliła gromnicę i wzięła różaniec dla odmówienia modlitwy za umarłych, sądziła bowiem; że kapitan Antonio już nie żyje.

Około północy nasz dowódca mając zawsze zawarte oczy uczuł się lepiéj, jakby kościół katedralny w Mesynie zdjęto z jego piersi. Powiadał mi o tem ze sto razy, że kiedy stara zdrzemała się w kąciku szepcząc pacierze, przy słabym blasku pochodni ujrzał śliczną dziewicę pochyloną nad sobą, jéj usta dotykały się jego rany, z któréj krew wysysała. — Ponieważ było otwarte okno i mógł widzieć sklepienie niebios błyszczące gwiazdami, zdawało mu się

więc iż w postaci dziewicy widzi anioła, który zstąpił do niego. — Po chwili piękna nieznajoma utarła ziół i w wyciśnionym soku umaczała chustkę którą złożywszy we czworo przyłożyła do rany.

Wtenczas już Antonio mógł doskonale rozpoznać dziewczynę za którą otrzymał pchnięcie nożem, chciał więc do niéj przemówić, ale nieznajoma położywszy paluszek na wiśniowych ustkach nakazała mu milczenie i wkrótce znikła.

Wszystko co się dotąd stało, kapitan uważał za marzenie, wkrótce też długi sen skleił mu powieki tak dobrze, że nie obudził się aż nazajutrz, w tym samym stanie jak go położono.

Zaledwie otworzył oczy, kiedy wszedł doktór: matko rzekł do pilnującéj kobiety, nasz chory czy już umarł?

Nie wiem, odrzekła stara... Na te słowa Antonio poruszył się na łóżku, a doktór przybliżywszy się do niego, zawołał z podziwieniem, Święta Marjo! niezgorzéj idą rzeczy.

Tak jest, odpowiedział kapitan, i gdybym wiedział co się stało z mojemi nogami, czuję żebym już mógł chodzić.

—To febra która go przy życiu utrzymuje, pomruknął lekarz macając puls chorego. Co to znaczy? to nie febra, zobaczmy ranę. Po dokładnem jéj obejrzeniu długo stał w zadumieniu, a pokiwnąwszy głową opuścił rannego życząc mu aby z resztą tak dobrze poszło, zmówiwszy pierwéj nad nim modlitwę.

Kapitan strudzony znowu zasnął. Około północy ile mógł uważać, podobnież jak pierwéj zjawiła się nieznajoma. Odjęła plaster, wsączyła w ranę jakiegoś bruuatnego olejku, przyłożyła na nowo utartych ziół i obwiązała bardzo zręcznie piersi chorego. Kapitan chciał mówić ale jak wprzódy dziewica przyłożyła mały paluszek do ust aby milczał i wkrótce wybiegła.

Drugi dzień przeszedł lepiéj jak pierwszy, rana prawie się zamknęła. Antonio z niecierpliwością oczekiwał nocy, a skoro nadeszła, rozkazał staréj kobiecie oddalić się na spoczynek, a sam czuwał z utkwionym wzrokiem we

drzwi, któremi spodziewał się że przyjdzie dziewica. O północy jak zwykle weszła nieznajoma, — przystąpiwszy po cichu do kapitana rzekła.

— Nie spisz jeszcze?

— Czekam na ciebie.

— Jakże twoja rana?

— Bardzo dobrze, a jeszcze lepiéj przy tobie, bo dzięki twiém staraniom ocaliłaś mi życie...

— Bardzo mało ci poświęciłam, wszakże moje winna jestem tobie, ale dzięki Bogu zdrów znowu będziesz.

— Prawda, tymczasem umieram z głodu.

Uśmiechnęła się na to dziewczyna i wyjąwszy za śnieżnego gorsa flaszeczkę, w któréj tym razem był likwor czerwony, usączyła go pewną ilość i podała kapitanowi.

Antonio doświadczywszy pierwéj że napój jest słodki, połknął go od jednego razu. — Te kilka kropel uśmierzyły głód i pragnienie wkrótce kapitan sciskając dłoń dziewczyny zasnął.

Trzeba mu wierzyć że wypił napój czarodziéjski, bo złote marzenia całą noc kołysały jego dusz. Śniło mu się że popłynął na połów korali przy brzegach Stromboli, który tak był

szczęśliwy, że cały swój statek napełnił korallami rzadkiéj piękności. — Pojechał potem do Neapolu pędzony lekkim wietrzykiem i stanąwszy w porcie postrzegł że liny u statku byłyz jedwabiu żagle, purpurowe, a sam okręt z drogiego drzewa machoniowego.

Król i krolowa uprzedzeni o jego przybyciu, dali znak aby przybył do pałacu, gdzie zaprowadzony pił w kryształowych naczyniach lacrima Christi i zajadał makaroniki na złotych półmiskach. — Nareszcie królowa zakupiła od niego korale za droższą cenę niż się spodziewał i został bogatym.—Całą noc słodkie sny w coraz nowych postaciąch upajały go szczęściem i rozkoszą.

— Zapewne napił się opium, przerwałem opowiadającemu majtkowi.

— „ Bydź może, bo nazajutrz jeszcze kiedy się przebudził, mniemał że jest wielkim sułtanem, ale gdy weszła stara dla dowiedzenia się czy czego nie potrzebuje, smutna rzeczywistość przypomniała mu jego położenie, znowu był tym samym kapitanem Antonio, który odebrał potężną ranę za nieznajomą dziewczynę, a przy-

bycie doktora, przekonało go bardziéj o téj prawdzie.

Nie potrzebuję dotykać się twego pulsu, rzekł lekarz spoglądając na kapitana, widzę że się masz dobrze, ale w dodatku do moich recept, które tak szczęśliwie skutkowały, muszę ci dać jednę radę, abyś się nie bił za pierwszą lepszą dziewczynę którą spotkasz na drodze, bo w Kalabrji nie brakuje czarodziejek.

— Co mówisz?

— Mówię o téj za która zostałeś raniony, iż nie warta jest twojego życia!

— Jakto?

— Czy nie znasz jéj?

— Nie...

— Oh...ona nazywa się Gulja.

— „Gulja to jéj imie, lecz ona..:

— Ona — ona jest sobie po prostu czarownicą.

— Jesteś pewny tego, doktorze?

— Tak pewny, jak o tem, że mówię z kapitanem Antonio. — Najprzód Gulja jest córką bez ojca i matki, potem była wychowana przez

pasterza wróżbiarza i czarownika, który przy tem trudnił się przyprawianiem trucizn...

— Lecz to nie jest powodem aby Gulja była wieszczką.

—Powiadam ci że jest czarownicą, wieszczką, czem chcesz. — Nie raz spotykałem ją w pośród gór o północy podczas pełni księżyca, szukającą ziół czarodziejskich. Kiedy w górach przytrafiło się komu jakie nieszczęście, skoro jaki majtek się utopił, lub otrzymał ranę śmiertelną, wtenczas Gulja przybiegała w nocy, szepcząc jakieś tajemnicze słowa, przykładała zioła, które wprawdzie skutkowały, ale za to uleczony, musiał dać jéj ceregraf na duszę...

— Doktorze, zawołał pomieszany i przerażony kapitan, proszę cię skończmy nasz rachunek.

— Nie ma nic pilnego.

— Ale cię proszę.— Oto 5 dukatów za twoje odwiedziny—czy dosyć?

— Nie zwykłem się nigdy targować.

— A więc do zobaczenia.

Lekarz wyszedł, w kwandrans potem ja i

dwaj towarzysze przybyliśmy do naszego dowódcy. Ledwo nas ujrzał, wyciągnął rękę któreśmy z pociechą ucałowali, a potem rzekł.

— Zapewne przyjechaliście łodzią.

— Tak.

— Potrzeba więc abyście natychmiast przygotowali się do powrotu, popłyniemy w téj chwili..

— Jakto, w nocy? jeszcześ nie zupełnie wydrowiał Kapitanie!...

— Cicho, tak chcę i oto proszę...

— Lecz wiatr przeciwny...

— Popłyniemy z pomocą wioseł, choćby mi przyszło samemu żeglować.

— A toby było pięknie.

— Więc zgoda.

— Zgoda! zawołaliśmy i w milczeniu przed zapadającym zmierzchem zabraliśmy kapitana do łodzi. Przychodząc nad brzeg, ujrzeliśmy śród zmierzchu białą postać migającą na ułomku skały.—Jakiś czas spoglądała nas, na wkrótce potem spuściwszy się lekko z pochyłości zbliżyła się prawie na pięć kroków do łodzi. — Skoro ją dowódca spostrzegł, zawołał do wioseł. tak

mocno jakby już był przy zupełnych siłach. Uderzyliśmy wiosłami, a barka odpłynęła szybko od brzegu, wtenczas nieznajoma wydała krzyk boleści.

—Co to za kobieta? rzekł Nunzio.

Czarownica! odpowiedział z przestrachem kapitan, czyniąc znak krzyża Sgo.

Pracując wiosłami z nadzwyczajną szybkością, bo strach dodaje siły, widzieliśmy jak biedna istota załamując ręce rzucała się po piasku, potem upadła i leżała bez znaku życia jakby już umarła.

Co do kapitana, ten znużony wysileniem, schronił się w najciemniejszy kącik kajuty.

II.

Msza żałobna

Na czemże skończyłem, rzekł do mnie Pietro po obiedzie, od którego wstaliśmy.

—Mówiłeś o kapitanie, kiedy omdlały leżał w kajucie.

— Aha! prawda, przychodzi mi teraz powiedzieć część najsmętniejszą, ale nie będzie ona

długą. Kapitan wkrótce odzyskał siły, świeże powietrze Kalabrji wiele się przyczyniło do jego zdrowia. — Przybliżyliśmy się w kwandrans do małéj wioski gdzie tegoż rana Antonio się wyspowiadał, ośm dni późniéj kazał odprawić mszą a w rok potem jak pan już wie o tém, ożenił się z Franceską, swoją ładną kuzynką.

— „A w tym czasie, czy nie widywał się z Gulją?

— „Nie, ale często słyszał o niéj mówiących. Od wypadku z kapitanem Antonio, jeszcze więcéj samotnie błąkała się jak pierwéj, mówiono że kochała kapitana i teraz domyślasz się pan, dla czego po widzeniu się nad jeziorem z Gulją, powrócił tak zmięszany.

Muszę jeszcze powiedzieć, iż nie długo po ożenieniu się kapitana mieliśmy odbyć małą podróż do Liparo, dla zawiezienia tam ładunku oleju, a z powrotem zabrać rodzenki dla jednego z kupców Stromboli tak że tam i na powrót nic nie było straconego.

Noc była tak czarna, że zaledwo można było rozpoznać przedmioty, ale znałem drogę tak dobrze jak własną kieszeń. — Poszedłem więc najbliższą ścieszką prowadzącą do morza dla zrobienia przygotowań. Idąc nuciłem sobie, bo śpiew skraca drogę, kiedy nagle śród szarych skał migło się coś białego. Zatrzymałem się kiedy postać zwolna powstała, jednak nie zważając na to szedłem daléj, aż biała osoba zastąpiła mi drogę, wtenczas rzekłem sobie, panna która śród nocy sama idzie, zapewne nie wyszła na przechadzkę. — Rzecz śmieszna że ja, Pietro, ja, co nie lękam się najtęższego zucha ani nawet dwóch, ba choćby i dziesięciu, a przecież wtenczas czułem, że drżały mi łydki, zimny dreszcz przebiegł po członkach i włosy powstały na głowie. — Bądź co bądź poszedłem daléj. — Zgadujesz pan że to była wieszczka, wszakże tak?

— Bezwątpienia.

— Nieinaczéj, ale co szczególniejsza, bardzo zadziwiająca, że przechodząc koło mnie, zawołała na mnie: Pietro! ona wiedziała moje imie, rozumiesz pan. — I cóż, Pietro, przebąknęłem zale-

dwie. — Pietro powtórzyła, należysz do ekwipażu kapitana Areno?

— Doprawdy piękna zwodzicielko, wszyscy wiedzą o tem i jeśli nie masz mi więcéj co do powiedzenia, to nie warto mnie było zatrzymywać na drodze.

— Ty kochasz go?

— Kogo.

— Kapitana.

— O... jak swego brata.

— Więc powiedz mu, aby nie przedsiebrał żadnéj podróży w tym miesiącu, gdyż każda z nich będzie nieszczęśliwa dla niego i towarzyszów.

— Ba, tak mniemasz.

— Zapewniam cię.

— A zatem powiem wszystko kapitanowi.

— Czy mi to przyrzekasz.

— Daję słowo uczciwego majtka.

— Dobrze, możesz iść daléj.

Ledwo to wyrzekła, pilnowałem, aby się jéj nie dotknąć, a potem poszedłem zwolna lecz nie daléj jak dwadzieścia kroków, żeby nie dać jéj spostrzedz nawet cienia bojaźni, ale będąc już

pewnéj odległości wziąłem nogi za pas i drapnąłem równo z wiatrem, bo umiem doskonale biegać.

Barka czekała już u brzegu, kiedy Nunzio i mój brat ujrzeli mnie zadyszanego, domyślili się zaraz iż zaszło coś nadzwyczajnego, podali mi więc ręce abym śpieszniéj wsiadł na statek i z wielką szybkością zaczęli robić wiosłami; wiatr pomyślny naszą łódź popędzał, wkrótce przybyliśmy do wioski. — Miałem ochotę zaraz obudzić kapitana, lecz namyśliwszy się lepiéj, odłożyłem rzecz do rana, z resztą nie chciałem mówić nic z kapitanem przy jego żonie; nazajutrz jednak poszedłem do naszego dowódcy i opowiedziałem mu naszą rozmowę z czarownicą.

— Mówiła mi toż sama, odrzekł kapitan...

— A więc słuchając jéj rady, zatrzymajmy się do ostatniéj kwadry.

— Niepodobna, rodzenki które mamy zawieść do Stromboli zaczynają już wysychać, zatrzymując się dłużéj, przybylibyśmy późniéj od innych i z gorszym towarem.

— Kapitan wie najlepiéj co ma robić, pomyślałem sobie, a przy tem był to człowiek, który jak raz co przedsięwziął, to go już nic od tego odwieść nie zdołało. — W Sobotę więc powróciliśmy do *Allapace* dla dopełnienia ładunku. — Kapitan przybywszy do domu zastał we łzach swoją żonę, zapytana o przyczynę opowiedziała mu, że tegoż dnia przed wieczorem poszła do ogrodu dla uzbierania fig indyjskich. Zaledwo pomrok zacienił widokręg, wracając do domu spotkała dziewczynę ubraną w bieli, która rzekła do niéj głosem uroczystym. — Ostrzegam, aby twój mąż przed nowiem księżyca żadnéj podróży nie przedsiebrał, gdyż będzie nieszczęśliwa.

— To była zapewne Gulja?.. zapytałem.

— „ Tak jest. — Sądź pan o stanie biednéj żony w jakim się znajdowała, Antonio starał się ją uspokoić, bo okręt był naładowany, cena ugodzona, dzień naznaczony, więc bądź co bądź podróż nie mogła iść w odwłokę. — Uradzili więc tylko, że nazajutrz wysłuchają mszy na intencją szczęśliwéj podróży.

Nazajutrz też, było to w Niedzielę, młodzi

małżonkowie udali się do kościoła i uklęknąwszy gorące zasyłali modły do pana który rządzi losami ludzi. — Antonio podniosłszy głowę, spostrzegł na środku kościoła trumnę, około któréj tlały mnogie świece. — Antonio przywołał do siebie kościelnego i zapytał go, co to jest za msza, która się właśnie rozpoczęła, otrzymał odpowiedź, że msza jaką kapłan odmawia jest ta którą zamówiła jego żona. —Ledwie pierwsze wyrazy ksiądz zaśpiewał, dreszcz przebiegł po żyłach kapitana i jego żony, lecz kiedy chór odezwał się pieśnią *de profundis* Franceska łez wstrzymać nie zdołała, wydając krzyk boleści upadła na ziemię omdlała; — na krzyk rozpaczający kapłan odstąpił od ołtarza i do niéj się zbliżył.

— Szanowny prałacie, rzekł kapitan z pomięszaniem, jaką mszą odprawiasz?

— Za umarłych, odrzekł kapłan.

— I któż ją zamówił?

— Franceska.

— Oh! nie, nie, odparła z goryczą żona kapitana wrociwszy do przytomności, żądałam uproszenia szczęśliwej podróży, ale nie modłów żałobnych.

— Więc zaszło jakieś nieporozumienie, odpowiedział kapłan.

— Boże wielki, święta Marjo zlituj się nad nami, zawołała Franceska upadając przed obrazem na kolana.

— Niech się stanie wola święta, rzekł z rezygnacją Antonio.

— Amen! odpowiedział głos w głębi świątyni

III.

Trąba morska.

Popłynęliśmy dla tego nazajutrz, mówił dalej Pietro. Nigdy tak piękny czas nie sprzyjał naszéj żegludze; płynęliśmy około latarni jakby na skrzydłach, kapitan siedział spokojnie, zdawało się że go nic nie dręczy w głębi serca, lecz ja co wiedziałem o wszystkiém, uważałem iż gdy

mijaliśmy przylądek Palma, rzucił na niego kilka razy wzrokiem niespokojnym, potem wziął do rąk dalekowid i długo patrzał w tamtę stronę. — Nic nie rzekł zwracając mi lunetę: lecz kiedym ją zwrócił na brzeg Palmy, ujrzałem Gulją siedzącą na stroméj skale nad przepaścią morza, ścigającą wzrokiem nasz statek i często niosącą do oczu swoją chustkę.

—To ona; rzekłem do kapitana.

—Poznałem ją od razu, Pietro, czy ty wierzysz że ona jest wróżką.

—Czy ona jest?. kapitanie włożyłbym za to moję rękę w ogień.

– Jednak nie zrobiła mi nic złego, przeciwnie, bez jéj pomocy nie płynąłbym dzisiaj na moim statku. Ona nie może mi źle życzyć, gdyż kiedym ją widział nad jeziorem, nie przeklinała lecz prosiła z płaczem.

—Przez Boga! wszakże ona i teraz płacze; widziałem to dobrze.

Kapitan jeszcze raz spojrzał przez dalekowid, potem westchnął głęboko.

Nigdy osada naszego statku nie była tak we-

sołą jak wtenczas, jedni śpiewali, drudzy zaś, i ja z niemi, tańczyli tarantellę. Po niejakiéj chwili przystąpiłem do kapitana który zamyślony siedział w tyle okrętu; noc już zapadała, a jego dalekowid ciągle był obrócony na brzegi Palma.

—I cóż kapitanie? rzekłem.

—Ona tam ciągle siedzi nieporuszona.

—Nic nie widzę, tylko punkcik biały.

— To ona...

— Mylisz się kapitanie.

— Patrzaj oto dowód — wstała i ucieka. — Wymówiwszy to Antonio z przerażeniem, rzucił się na brzeg statku, lecz zatrzymałem go za spodnie i rzekłem, kapitanie co chcesz czynić?

— Niebaczny jestem — czyliż ona nie mogłaby dziesięć razy pierwéj się utopić, nimbym jéj zdołał przybyć na pomoc.

— Alboż ona?

— Już za późno—rzuciła się w morze.

Wziąłem dalekowid, lecz próżno, wszystko znikło i Gulja.

I cóż, rzekłem do kapitana, co chcesz przed-

wziąść. Patrzciéż on na prawdę rozpacza — Kapitanie, bądźże mężczyzną niech, przynajmniéj twojego zmartwienia nasze wiarusy nie widzą.

— Idź do nich i powiedz, iż mogą zasypiać spokojnie téj nocy, gdyż będę sam przy sterze,

— Rzekł i ścisnął mnie za rękę, zrozumiałem go i odszedłem.

Nazajutrz było to w samo południe, słońce jaśniało w całym blasku dni wrześniowych, czas był najpiękniejszy, lekki wietrzyk poganiał nasz statek. — Kapitan zamyślony palił fajkę, brat Filip grał z biednym moim bratem Baptistą, a ja zalazłem nie wiem po co do kapitana.

— Oho rzekłem . wracając do kapitana — to szczególna, zielona jak bałwany i samotna na niebie.

— Tak, już z 10 minut nie spuszczam jéj z oka — Patrzaj jak się zwolna przesuwa. — Nunzio co myślisz o tém.

— Nic dobrego, odrzekł sternik.

— Jeśli rozwiniemy wszystkie nasze żagle

być może, iż przybijemy do przylądka białego Przed nadejściem burzy.

—To nie burza kapitanie, powietrze spokojne wiatr powiewa od Grecji, a dym z Stromboli toczy się przeciw wiatrowi.

— Prawda, odrzekł kapitan.

— Ah patrzcie zawołałem, na morze, jak się wzdyma pod obłokiem.

— Na pomost, krzyknął kapitan, wmgnieniu oka 12 silnych maj-ków skoczyło na pokład statku z utkwionym wzrokiem w zieloną chmurkę.—Woda w ten miejscu coraz mocniéj wrzeć i wzdymać się zaczęła,tymczasem obłok zniżał się ku wodzie zdawało się że jedno drugie przeciąga,iż morze wznosi się ku niebu, a obłok zstępuje ku morzu. Nakoniec chmurka i woda złączyły się z sobą, była to piramida na kształt wyniosłéj sosny, któréj pień tworzyła woda, a obłok wierzchołek. Wtedy przekonaliśmy się że to była trąba morska. W téjże chwili ogromna machina zaczęła się poruszać, jak olbrzymi wąż slizgający się na ogonie z podniesionym łbem i wyrzucający z gardła kłęby dymu —

Machina ta, zatrzymała się na moment, jakby szukała kierunku którym miała postępować, nareszcie obróciła się ku nam prosto a na domiar nieszczęścia wiatr zupełnie ucichł.

— Do wioseł, do wioseł krzyknie kapitan i natychmiast każdy uchwycił za swoje, nie mieliśmy jak 20 kroków do odpłynienia aby ominąć trąbę, przeto pan nie wątpisz, iż nie żałowaliśmy rąk i Boże odpuść pędziliśmy jak gdyby szatan dął w nasze żagle, możebyśmy nawet uniknęli nieszczęścia, gdyby trąba nie upadła ua tór naszego statku. — Jeszcze pracowaliśmy usilniéj, kiedy Nunzio zawołał — Trąba, trąba!

Czy śpieszny bieg statku i ruch powietrza, czyli też poruszenie wioseł wskazały jéj, bądź co bądź, dosyć że groźna kolumna udała się w pogoń za nami. —Rzekłbyś, iż jeden z tych olbrzymów zamieszkałych dawniéj w kraterze Etny ścigał nasz nieszczęśliwy statek. — Nie mieliśmy więcéj ani siły, ani głosu, ani oczów; co do mnie, przypominam sobie, że zupełnie straciłem przytomność i machinalnie prawie

ścigałem wzrokiem morskiego ptaka, który zachwycony przez trąbę kręcił się jak ziarnko piasku nie mogąc wydobyć się z wodnistego koła. — O ile trąba zbliżała się do nas, tem szybcéj uciekaliśmy przed nią, tak dalece że wszyscy skupiliśmy się na przodek statku, wyjąwszy jednego majtka który nieporuszony pozostał na swojém miejscu. — Nagle zadrzał nasz okręt jakby uczuł bojaźń, późniéj zwichnął się maszt, rozdarły się liny jak wątła przędza pająka w téj chwili statek się przewrócił, zostaliśmy pogrążeni na dno morza.

Nie wiem jak długo zostawałem pod wodą, lecz o ile mogę się domyśleć, byłem zanurzony przynajmniej na 300 stop w wodzie. — Szczęściem wypłynąłem na wierzch, a pierwszy przedmiot jaki ujrzałem był nasz statek przez połowę wyglądający z wody jak zabity wieloryb, w téj chwili spostrzegłem także naszego kapitana, który na mnie zawołał. — Daléj, nie trać odwagi, przy pomocy Bożéj możemy być ocalonemi.

Prawda, odpowiedziałem, potrzeba tylko o-

strożnie nam pływać kierując się do białego, przylądka. — Trochę za daleko, ale nie powinniśmy się troszczyć, chociaż który z nas zostanie na drodze — daléj, naprzód!

W dziesięć minut zgromadziliśmy się wszyscy. Jeden, dwóch, trzech, było nas jedenastu, nie brakowało więc tylko jednego i o nim też więcéj nie słyszeliśmy. — Płynąc w jednym rzędzie jak kompanja pontonierów, zbliżyłem się do mego brata. — I cóż Baptisto?... trzymasz się dobrze na wodzie.

—Oh! to nic, odrzekł, płynąłbym jeszcze dwie godziny, gdyby nie kamizelka która mnie ściska pod pachami.

— A więc zbliż się tu, i nie spuszczaj mnie z oka, skoro osłabniesz, oprzesz się na mojém ramieniu.

— Dobrze bracie...

— Nie zapominaj zwracać uwagi na kapitana.

— Bądź spokojny.

— A teraz cicho!.

— Jednak...

— Milczenie! — Tym sposobem płynęliśmy

prawie godzinę, potem widząc niespokojnego brata, rzekłem mu: Baptisto czy się już zmordowałeś?

— Nie jeszcze, lecz nie widzę już Giowaniego.

Obejrzałem się na wszystkie strony, ale daremnie, już on spoczywał na dnie morza, nie uczyniwszy najmniejszego znaku, nie wołając na żadnego, aby nas nie przeraził. To mi to prawy marynarz. — Zmówiłem *Zdrowaś* Marja połowę za niego, a połowę za siebie, i położyłem się na wznak na wodzie, dla wypoczynku i znowu tak upłynęło z godzinę. — Przez ten czas kiedy niekiedy dawałem baczenie na mego brata, który coraz stawał się bladszy...

— Znurzyłeś się Baptisto?

— Nie bracie, ale nas już tylko jest ośmiu.

— Barka... krzyknął kapitan.

Wszyscy wyciągnęliśmy nad wodę szyje i w saméj rzeczy, na kończynach przylądka ujrzeliśmy małą plamkę białą która według wszelkiego podobieństwa musiała być żaglem. —

Jeśli to była łódka potrzeba było najmniéj godziny aby nas dostrzegła, a dwóch żeby ku nam się zbliżyła.

— Nie zapłynę do niéj, rzekł smutno Baptista.

—Bądź tylko odważnym, wesprzej się cokolwiek na mnie, o tak,—dobrze,— teraz płyńmy razem.

Po godzinie zawołał kapitan. Ujrzano nas z barki.

—Słyszysz Baptisto, jesteśmy z łodzi widziani, będziemy ocaleni!

—Nie wszyscy, bo oto Getano się topi.

—Daléj, daléj bracie, nie zajmuj się drugiemi, każdy niech o sobie myśli.

—Dla czegóż ty o mnie myślisz Pietro.

—Bo jesteś mojm bratem, bo ty jesteś mną.

—Milcz, odrzekł majtek.

Mówił prawdę biedny Baptysta, już daléj nie zdołał płynąć, uwiesiwszy się u méj szyi. ciężył mi jak centnar ołowiu, tymczasem barka coraz się zbliżała; mogliśmy na niéj rozpoznać już ludzi, słyszeliśmy ich wołanie, na które tyl-

ko Nunzio odpowiadał. Pozostali przy życiu dosyć dobrze trzymali się jeszcze na wodzie, ale mój brat to wcale co innego, oczy miał zamknięte a jego zimna ręka coraz mocniéj skurczała się koło méj szyi, zaledwo mógłem oddychać.

—Majtku rzekłem do Baptisty: jeśli się nie dostanę do łodzi żywy, każ za mnie msze odprawić. Zaledwo to wymówiłem, kiedy spostrzegłem ze drżeniem, że mój brat znajdował się już w letargu, a nadomiar nieszczęścia miałem już wodę po nad głową. Wiesz pan, że przed utopieniem, trzeba się pierwéj trzy razy zachłysnąć, a potem,...Dobrze, pomyślałem, poleciłem duszę Bogu, to już pierwszy łyk, jeszcze dwa takie, a spełni się moje przeznaczenie. Wydobywszy się na wierzch wody z moim bratem, zdawało się mi słońce czerwonem światłem za mgłą błyszczącem, i barka w mgle się poruszała; nie widziałem już czyli była blisko czy daleko, chciałem krzyczéć, lecz napróżno, Baptysta wisiał u méj szyi, czułem znowu, iż się powtórnie zanurzam. Dobrze, to już drugi, nie pozostaje tylko jeszcze

jeden łyk. Nareszcie zebrałem wszystkie siły i z niemałym trudem wygramaliłem się nad wodę. Wtedy słońce było dla mnie czarne, ach panie!...czy topiłeś się kiedy.

—Nie Pietro, ale mów, mów daléj.

—Cóż u czarta chcesz abym mówił, nie wiem nic więcéj, bo nie poznałem brata który mnie sciskał za szyję, czułem tylko, że zanurzam się w głębinie morskiéj z jakąś ciężką rzeczą, która mnie topi, i chciałem uwolnić się od téj niemiłéj rzeczy.

Nie wiem jak się to stało, lecz niech mi Bóg niepamięta, udało mi się uwolnić moją szyję od tego ciężaru, wtenczas czułem że mi lepiéj, potem zdawało się iż oddycham, że mnie biorą i przewracają, a kiedy otworzyłem oczy byliśmy na białym przylądku gdzie leżąc na ziemi wyrzucałem pełnemi ustami kłęby wody —Nunzio rozcierał mi piersi i skronie.

— A inni?...

— Czterech tylko ocalało.

— A kapitan?

— Kapitan nie utonął, lecz że zmordowania i wyczerpania sił, otwarła się j-go rana,

w trzech dniach wszystkę krew utracił, a czwartego umarł, co jest najpewniejszym dowodém, że Gulja była wieszczką, czarownicą jedném słowem, a teraz domyśl się pan dla czego unikamy zawsze *Białego przylądka*.

MŁODOŚĆ.

Młodości! życia ozdobo,
Ty uciech i roskoszy zbiorze,
Szczęśliwy kto długo tobą
Łudzić i cieszyć się może.

Serce — to uczuć ognisko człowieka,
Raz tylko w życiu mocnym żarem płonie,
Młodzian niepomny że przyszłość daleka,
Na łonie lubéj, laurem wieńczy skronie.

Ach! myśl młodzieńca jak motylek płocha,
Szuka słodyczy w każdym kwiatku życia,
Dąży do sławy, lubą stale kocha,
Nie dba jak wiele trudów do przebycia.

Szczęśliwy! — bo gdzież szczęście prawdziwe
człowieka,
Jeżeli nie w marzeniach — gdy te człek
utraci,
Już jego przyszłość czarnym kirem się po-
wleka,
Już on godzien litości świata i wspołbraci.

Młodzieńcze! jeśliś w twoich lat różanych
kwiecie,
Za dobre serce doznał niewdzięczności ludzi,
Gdy już wszystko dla ciebie martwem na,
tym świecie,
Niech to marzeń młodości twojej nie ostudzi
Porzuć tęskność i smutek—oddal niepokoje.
Bo prędko życie zniszczą cierpienia twéj
duszy,
Z pełnego żalu serca łez wylanych zdroje,
Ni smutek ni tęsknota pewno nie osuszy.

Pomnij na to żeś młody — żeś jest w ży-
cia wiośnie

Że promyk twéj nadziei jeszcze silnie świeci
Spojrzyj jak się twa przyszłość uśmiecha
radośnie,
Niech to w sercu zbolałem iskierkę roznieci.
Pomnij z resztą na Boga i na grób znikomy,
Gdyś cnotliwie dopełnił twoje przeznaczenie,
Spokojnie przyjmij śmierci nieuchronne gromy,
Bo tu znajdziesz mogiłę —u Boga zbawienie.

Jan H...

BURZA.

Przez

Frederyka Soulié

Ponieważ to prawda, że w ostatnich czasach tak nie płodnych w dramatyczne nowości, o których często przychodzi mi zdawać sprawę, dosyć pozostaje mi chwil do odpoczynku, dozwólcie z niego korzystać opowiadając wam a-

negdotkę, mogącą bardzo dobrze zastąpić ko' medją lub wodewil. — Najważniejszą tylko rzeczą będzie spełnienie śmiałego przedsięwzięcia, a wyznaję że moje jest śmiałe i dziwaczne. — Jakto? — czyż mam opowiadać historję nie podobną do prawdy; — nie wiem, — ale wzięta jest z prawdziwego zdarzenia. — Czy się odbywa w jakim nieznanym kraju. — Nie, moj Boże, moja historja działa się na ulicy Bondy. — Jestże z czasu rewolucji? —i to nie, stała się przeszłéj Niedzieli; ośm dni temu — I dla czegóż więc? — oto powiem wam otwarcie dla czego, a jeśli nie zechcecie uwierzyć....., oto... ale nie, byłoby to uprzedzić ciekawych o rozwiązaniu, a rozwiązanie w téj chwili w któréj piszę jeszcze nie nastąpiło. — Słuchajmy więc lepiéj samego od początku opowiadania.

W pokoju skromnie lecz porządnie ustrojonym, siedziała Amelja de Leutral, kończąca się ubierać. Ubiór jéj jako wybierającéj się na przechadzkę wiejską, był zupełnie świeży i

zupełnie nowy. — Jednakże Amelja zdawała się zadumana, przeglądając się w zwierciadle.— Czy jéj nie ładnie w białéj muślinowéj sukni?.. i owszem — nigdy nie widziano milszéj twarzyczki, zgrabniejszéj kibici, mniejszéj nóżki, bielszych rączek i delikatniejszych. — Jednakże dumanie jéj było tak wielkie, tak głębokie, że dwie łzy potoczyły się po licach a ona zie zważała że bona weszła do pokoju.— Przebaczcie że użyłem tego wyrazu bona; gdyż Justyna nie była właściwie młodszą, bo trudniła się także kuchnią, a ponieważ pani de Leutral skromnie jadała, Justyna więc ubierała także Amelją, otóż Justyna była wszystkiém a wiecie dobrze że teraz nie mamy służących, jak nie mamy więcéj korzennych sklepów, aptek, golarń, sklepików z butami, trzewikami, tandetą, lecz magazyny i składy kolonialnych towarów, magazyny, perukarskie, butów, trzewików i sukien. — Otóż i Amelja miała bonę i uważała że Justyna posprzątawszy wszystko, oraz ustawiwszy na swojém miejscu, nie wychodzi z pokoju i zmiata z usilnością najdrobniejszy

pył ze sprzętów, chociaż te świeciły się jak zwierciadło.

Nakoniec obecność swéj bony dostrzegła Amelja i rzekła do Justyny.

— Czego oczekujesz?

— Chciałam panią prosić o jednę rzecz.

— O co?

— Pani dzisiaj pojedzie do St. Germain...

— Tak.

— I pani tam się zatrzyma przez cały dzień, a więc nie będzie mnie potrzebować.

— Rozumiem — chcesz wyjść także.

— Tak pani — Dzisiaj Niedziela, wszyscy służący z pierwszego piętra, idą razem do Wersalu i mnie z sobą zaprosili.

—Tyś przyjęła zaproszenie, jak uważam, gdyż jesteś wystrojona,

— Ubrałam się na przypadek, jeżeli mi pani pozwoli.

— Bardzo chętnie, możesz wyjść skoro odjadę.

— Ale bo...

— I cóż?...

— Oni jadą za kwadrans.

— Jeżeli tak, możesz wyjść natychmiast, idź, już cię nie będę potrzebować.

— Dobrze.

Justyna wyszła z pokoju, Amelja zaś spojrzawszy na zegar i widząc że już po 9, przeszła do salonu i zaczęła dumać, poprawiając kilka fałdów u sukni i przypinając braseletki — po chwili weszła znowu Justyna.

— Odchodzę już, pani.

— Dobrze, możesz to uczynić.

— Ponieważ pani łaskawa wyjść sama, raczy przeto nieprzepomnieć zamknąć drzwi na podwójny rygiel.

— Dobrze, dobrze.

— Zamkniéj pani także lufcik, bo czas niepewny a na przypadek burzy, pokoje zostałyby zalane.

— Nie zapomnę o tém.

— Mamże powiedzieć odźwiernemu, aby wpuścił, jeżeliby kto pytał się o panią.

— Zapewne, bo przyjdzie do mnie pierwszy

komissant z banku pan Dalois, ten stary Cambet, ma mi towarzyszyć do Germain.

— A więc odchodzę życząc aby się i pani dobrze zabawiła.

— Bona wyszła, smętny uśmiech spoczywał na ustach Amelji po tych zastrzeżeniach Justyny. — Amelja zostawszy samą boleśnie spojrzała na swoją nową suknią. — Była to pierwsza suknia biała, po 13tu miesiącach owdowienia. — Usiadła potem przed portretem mężczyzny mogącego mieć lat 50 i zaczęła się w niego wpatrywać. — Wpatrując się w portret wzniecały się w jéj duszy wspomnienia, o których teraz powiemy.

— „ Byłeś moim szlachetnym przyjacielem, myślała Amelja, byłeś moim dobrym mężem, panie de Leutral. — Znalazłeś mnie sierotą wychowauą z łaski ciotki, która dając mi edukację, nie pamiętała jak na stan szlachetny, a zapomniała że majątek skończy się wraz z jéj życiem. — że zostawi mnie biedniejszą niż byłam przed poznaniem dostatków, tem więcéj godną politowania i opuszczoną, gdyż mnie przy-

zwyczaiła do świata, w którym jakkolwiek szlachetne imie, nic nie znaczy bez majątku. — W tym razie szczęśliwsi są mężczyzni, wiele znajduje się rodzin, które posagiem kupują sobie tytuły hrabiów, markizów. Lecz cóż przyjdzie dziewczynie, że pochodzi z rodziny Noelów lub Montmorenci, jeżeli się ma nazwać pani Dupont albo Durand.

Wszystko przewidziałeś szlachetny p. de Leutral, ofiarowawszy mi skromny majątek i szlachetne nazwisko, w zamian za niepewną i opłakaną przyszłość. Bóg mi pozwolił, że śród wiru uciech młodości, twój głos ojcowskiego rozumu, mócniejszym był niż te czcze mary, które mogły próżnością natchnąć niedoświadczone serce.—Sprawiedliwieś mnie wynagrodził, gdyż przez dwa lata z tobą spędzone byłam spokojna i szczęśliwa, a kiedy nas śmierć rozdzieliła, znalazłam się opatrzoną we wszystkie dostatki jakieś mógł zapewnić wdowie, i jakie ci kolejne rewolucje z twego wielkiego majątku oszczędziły. — Ach jestem ci wdzięczną za to wszystko. —Zrzuconą dopiero żałobę, noszę w mem

serce, nie tak jak ta co w nowem małżeństwie topi pamięć przeszłego męża, lecz jak ta co czci swego dobroczyńcę, ojca; a ojca, nigdy odzyskać nie można. — Przebacz mi więc zamiar który dzisiaj myślę wykonać, przebacz; przychylam się do próśb przyjaciela któremuś mnie równie jak mój majątek powierzył. — Tak, zaledwie zdjęłam żałobę a już idę na schadzkę, gdzie będzie człowiek, z którym chcą mnie połączyć. — To mi mówił przyjaciel, tak jakbyśmi ty sam mówił, że obroniłeś mnie od nędzy, lecz nie zasłoniłeś od potwarzy, dotąd dopóki nie zwiędną moje wdzięki i młodość, ani od samotności, póki ostatnia nie przeminie. — Bezwątpienia, gdybym miała dziecię nie nosiłabym innego imienia nad to co mój syn lub córka. — Matka bezpieczna jest przy dziecięciu, chociażby to było w kolebce. — Ale ja sama, jestem celem natarczywości ludzi bogatych, dla których młoda kobieta, mająca już stanowisko na świecie i swobodę życia, miłym i bespiecznym jest nabytkiem, celem pożądliwości i nikczemnych pochlebsów przetrawionéj młodzieży. — co bły-

szczy pożyczaną elegancją, któraby mi chętnie udzieliła swojego imienia i długów.

Tak mi mówił pan Dalois, człowiek równie poczciwy, jak ty byłeś, zgasły mój mężu. Dał mi on uczuć jak każdy mój krok szpiegują, w życiu kobiéty będącéj w mojém położeniu, z jaką złośliwością podchwytują jéj wyrażenia, jéj czyny, aż do niewinnych spojrzeń. Przeraził mnie, i widzisz dla czego dzisiaj idę zobaczyć człowieka z którym chce mnie połączyć. Nie jest to więc zapomnienie, nie jest to zdeptanie świętego po tobie wspomnienia, nie jest niewdzięcznością, to co mam uczynić mój dobry i szlachetny przyjacielu, a chociaż mi mówiono, że ten którego mi przedstawią jest zupełnie do ciebie podobny, delikatny, szlachetny, pobłażający, przysięgam jednak, że nie będzie tém dla mnie czém ty byłeś. Nie wyruguje z mojego serca pamiątki twoich dobrodziejstw, twéj dobroci, szlachetności serca. Opłakując ciebie, czuję że będę opłakiwać twoje imie, które również muszę odmienić, będzie to nowe rozłączenie, lecz przebacz i zezwól na nie mój mężu. Ma ono cel uczciwy, —nie prawdaż i pewno nie wzbro-

niłbyś tego dla dziecięcia, dla twéj żony, dla twéj Amelji.“

Mówiąc tak sama do siebie, pani de Leutral wstała z krzesła powoli i uklękła przed wspomnionym portretem. Łzy płynęły z jéj oczów, w których malował się smutek bez rozpaczy i zgryzoty, łzy zrosiły jéj twarz pogodną. Zdawało się że żąda odpowiedzi od portretu w który się wpatrywała, gdy odgłos dzwonka wyrwał ją z smętuego zadumania. Szybko powstała, otarła oczy, przejrzała się w lustrze dla przekonania, czyli jéj oczy nie zaczerwieniałe, ale wzruszenie jakiego doznała, choć głębokie, było spokojne i nie mogło zdradzić przed przybyłym uczuć Amelji. Jednakże nikt nie wchodził, i dopiero drugie poruszenie dzwonka przypomniało pani de Leutral że znajduje się sama w pokoju. Poszła więc otworzyć, wszedł młodzieniec i z niejakiem zakłopotaniem pozdrowiwszy ją, rzekł.

—Pani de Leutral.

—Tu panie.

Za całą odpowiedź, młodzieniec oddał list

o twarty. Pani de Leutral wziąwszy go do ręki wyczytała co następuje.

„Pani,“

„Listy nadzwyczajnéj wagi w interesach domu p. Dalois, zniewoliły mnie do pozostania najmniéj do godziny trzeciéj, wybacz więc że nie mogę pani towarzyszyć do St. Germain. Zobowiązałem p. Anzelma Feru, jednego z naszych kommissantów, do wręczenia listów P. Dalois a razem towarzyszenia pani do St. Germain, co nie tylko wypełni z przyjemnością, ale i daleko lepiéj jak jabym wypełnił, będąc w kłopocie opuszczenia mego krzesła i książek buchalterycznych. Zostaję z uszanowaniem pani

Twój uniżony i wierny sługa

P. P.

Ludwik Cambet.

Amelja poznała pismo p. Cambet, który jéj

przysyłał regularnie co 3 miesiące procenta od kapitałów złożonych u p. Dalois i który zapominając że przypadkiem sam od siebie pisze, zachował sławny podpis p. p. (przez pełnomocuictwo) co poświadcza w świecie handlowym o ufności jaką w nim jego naczelnik banku pokłada.

Przeczytawszy list Amelja spojrzała na młodzieńca i przypomniała sobie, że go już raz widziała u p. Dalois na wieczorach bankierskich i jeżeli ją pamięć nie zwodziła, był on jednym z nieodstępnych tancerzy w każdym kontredansie, chociaż nie zawsze był tyle szczęśliwym aby mógł docisnąć się do jéj ręki. — Uważała nadto, że ten pan Anzelm Feru, wiedząc teraz jego nazwisko, przystojnym był młodzieńcem. — Jego postać męzka, wyraziste rysy, okazywały lat 30, ale wzrok bojaźliwy, spuszczony przeznaczał mu lat 18, rzeczywiście miał 25.— Zatrzymał on się przy drzwiach kiedy pani de Leutral czytała list od p. Cambet a ukończywszy dała znak aby wszedł, potem zaś rzekła.

— Przepraszam że pozwoliłam panu czekać

; dwa razy dzwonić, jestem sama, zapomniałam że bona wyszła.

P: Feru odpowiedział tylko na to ukłonem, udając się do salonu, gdzie miał zaczekać, dopóki pani de Leutral nie włoży szala i kapelusza. — Ale gdy ona zatrudniała się przygotowaniem do podróży, nagle się sciemnia, w kilka minut niebo pokrywa się chmurami i oto błyskawice krzyżują się, grzmoty huczą, a deszcz leje potokami.

Amelja wraca do salonu, gdzie zostawiła Anzelma patrzącego przez okna na bulwary.

— Nie podobna nam jechać podczas takiéj burzy, rzekła.

— Tem bardziéj niepodobna odpowiedział Anzelm z kłopotem, że wszystkie fjakry zostały zajęte przez przechodzących, a ztąd bardzo daleko do kolei żelaznéj.

— Nie byłoby to dla mnie przeszkodą, bo lubię pieszo chodzić, ale nie w takim czasie...

—Jeżeli tak, bardzo mało się spóźniemy, gdyż

burza wkrótce przeminie, wpół godziny pojedziemy.

— Zaczekajmy.

Młodzieniec się ukłonił.

— Chciéj pan usiąść.

Anzelm usiadł po jednéj stronie salonu, pani de Leutral po drugiéj, on z kapeluszem i laską w ręku, ona w rękawiczkach, w kapeluszu i w mantylce z czarną falbaną, oboje gotowi powstać na pierwsze zabłysnięcie słońca, lecz mocno zakłopotani nie wiedząc co mają do siebie mówić. Anzelm spoglądał na koniec swéj laski, rysując nią po dywanie, Amelja nie mając co lepszego robić przesuwała przez pierścionek z kości słoniowéj swój naszynnik. — Milczenie było dosyć nudne, Amelja, z uwagi że mając gościa, obowiązkiem jéj było prowadzić rozmowę, rzekła do pana Feru...

— Znasz pan wiejski dom p. Dalois.

— Znam pani, bo pan Dalois tak łaskaw zapraszać mnie każdéj Niedzieli do siebie.

— Bezwątpienia jest to piękne mieszkanie....

— Prześliczne, pani.

P. Dalois jest bogatym.

— Równie i ze smakiem. — Nie przepych łudzi oko w jego domu, lecz doskonały ład we wszystkiem.. Powiedzianoby że to jest dom zamożnego artysty, nie bogatego bankiera.

— Pan lubisz piękne sztuki.

— Zajmuję się niemi w chwilach wolnych od zatrudnień.

Cichość znowu nastąpiła, a w téj chwili przebiegła myśl po głowie pani de Leutral, a mysl ta spowodowała ją do zapytania.

—Ponieważ pan każdéj niedzieli odwiedzasz p. Dalois, znasz więc wszystkie osoby na wsi u u niego bywające.

—Są to też same, które pani w Paryžu widywałaś.

—A więc nie bawią u niego mieszkańcy St. Germain.

—Bardzo mało, oprocz państwa Dolcy, których syn jest w naszym kantorze.

—To wszyscy?

—Bywa jeszcze pan de Fortis.

—P. de Fortis, rzekła żywo Amelja, cóż to za jegomość?

—Mniemam że lubiący się podobać.

—Przecież nie jest on młodzieńcem.

—Nie pani. Człowiek ten ma około lat 50, bardzo dobrze jeszcze wygląda, gdyż niezmiernie jest staranny o siebie.

—Cóż pan przez to rozumiesz? Byłżeby to jeden z tych starych adonisów, co naśladują modną młodzież?

—Bynajmniéj—przeciwnie, uważam go za eleganta jak powiedziałem, który ma swoje widzimi się.

—Chcesz pan mówić śmieszne zwyczaje.

—Nie śmiem ich tak nazywać w starcu.

—W starcu? W 50 roku panie, sie zostaje się jeszcze starcem.

—Anzelm rzucił ukradkiem wzrok na por-

tret pana de Leutral i odrzekł z uśmiechem.

— Chociaż pan de Fortis nie jest starcem co do wieku, zdaje mi się że jest nim co do zwyczajów. — Wstaje punktualnie o jednéj godzinie o 10téj idzie spać, jada ostrożnie z bojaźni niestrawności, daje baczność co chwila na temperaturę pokoju, aby ją utrzymać zawsze w równowadze, nie porzuca nigdy watowanych kaftaników, siedzi w czapeczce w salonie przewietrzonym, w zimie siada zdaleka od pieca, dla uchronienia się od bicia krwi do głowy...

— Ha, odpowiedziała Amelja tonem żartobliwym, w obrazie jaki mi pan odmalowałeś, widzę człowieka pełnego śmieszności.

— Nie pani, gdyż te śmieszności, jak je raczysz nazywać, osłania wesołym humorem, nawet ironicznym, jaki tylko znać mogłem.

— Ach to jest człowiek dowcipny, odparła szybko pani de Leutral.

— Nie pani, gdyż jego śmieszności, osłonione są ostrym dowcipem.

— Ach! ten pan ma dowcip? odrzekła Amelja.

— Bezwątpienia i w całem znaczeniu tego wyrazu, bez opinji politycznych, bez mniemań literackich, bez wiary w uczucia, pan de Fortis jest człowiekiem ostro, śmiem powiedzieć, sucho sądzącym wszystkie osoby i rzeczy. Uzbrojony w zimne doświadczenie, które podobno nie zostawiło mu żadnéj z młodości miłej pamiątki, posiada także nie mały zapas słów zgryźliwych, pomagających do tem cierpszego sądu. — Nieszczęśliwy ten na kogo on uderza, gdyż jest bez litości, nawet dla tych, co mu nic złego nie uczynili. — Najlżejsza uwaga, wyszła z jego ust, staje się anegdotą.

— Więc pan do Fortis jest wprawnym dostrzegaczem.

—Zapewnie, ale oto wyjaśnia się na dworze, jestem do usług pani.

— Zobacz pan czy nie ma fjakra na ulicy.

—Nie jeszcze, lecz pani nie lękasz się chodzić.

— Wolę jednak zaczekać.

Uwagi o panu de Fortis zastraszyły Amelję. — Teraz lękała się iść razem z młodym mężczyzną przez połowę Paryża, aby nie dać powodu do uszczypliwych postrzeżeń, oboje przeto zajęli naprzeciw siebie dawniejsze miejsca. — Obawiając się złośliwych języków, p. de Leutral postanowiła zaczekać na fjakra, w powozie bowiem można się ukryć, a skoro tylko przybędzie do kolei żelaznéj, wtenczas uchroni się wszelkiego obmówienia.

Zresztą jéj myśli szybcéj sięgały niż zdołaliśmy ich opowiedzieć, gdyż rozważyła ona także, iż nie mogła się wstydzić towarzystwa pana Anzelm, gdyby nawet nie był pięknym młodzieńcem w wytwornym stroju, rozmawiającym z lekkością właściwą wiekowi. — Lecz Amelja daléj swe uwagi posuwając, spotkała się jeszcze ze smutniejszą myślą, kiedy przypominała sobie obraz pana de Fortis, jaki jéj p. Feru omalował. — Pan de Fortis nie miał nic w sobie pociągającego, a jednak jego przeznaczano Amelji za męża. — Zaślubić podobnego człowieka, nie jestże toż samo co przyjąć rolę doglądacza chorego, albo kobiety do towarzystwa

albo raczéj żony do towarzystwa, rozumiejąc pod tém wyrażeniem guwernantkę starego kawalera, z tą jednak niedogodnością, że nie można go wtedy porzucić, kiedy się już nieznośnym stanie. — Bezwątpienia pani de Leutral nie była zakochaną z rozkoszy, mierny majątek przez przeszłego męża zostawiony, nie wiele jéj dozwalał, jednak tyle, że mogła swemu smakowi i modzie dogodzić. — I to to było powodem, że Amelja oddała się myślom w milczeniu obok pana Feru.—Co bąć miało nastąpić, młodość wzdrygała się na spomnienie, iż jeszcze raz ma być ze starcem połączona. — Kiedy w 16 roku życia zaślubiła pana de Leutral, Amelja nie wyrzekła się miłości, jeszcze nie myślała sama przez się, a była dosyć uczciwą i wdzięczną kobietą, aby myślała o niéj podczas pierszego małżeństwa, lecz po utracie pana de Leutral, hołdy mężczyzn chociaż się jéj niepodobały, dały jednak uczuć wyraz, o którym tylko marzyła, kiedy go nie słyszała, który mile brzmiałby w głosie jeszcze dla niéj nie znanym. Często pogardzała miłosnemi przysięgami, nie pogardzała przecież miłością, czuła bowiem,

że może odpłacić się wzajemnością temu, który na to rzeczywiście zasłuży.

Wytłomaczcie dla czego roślina żyjąca w ciemni, kręci się, niszczeje, pnie się i wychyla dla oglądania promieni słońca, kiedy nadejdzie czas kwitnienia; powiem wam zaraz dla czego. — W wieku dojrzewania serce wzdycha do miłości, i dla tego jak kwiat, który dla otwarcia wonnego kielicha szuka słonecznych promieni, pierwéj mu nieznanych, mimo przeszkód i zapór, pnie się dla ujrzenia lubéj gwiazdy, tak serce niewidzialną siłą pociągane, chyli się na stronę uczucia. Amelja nie z miłości zaślubiłaby p. de Fortis, nie uczyniłaby przez to żadnego poświęcenia, jeżeli nie dla własnego dobra. — Nie wyrzekłaby się dla niego ani przeszłości ani teraźniejszości, schronienie szczupłe i samotne, w którem spokojnie spędzony żywot żadnemi spomnieniami go nie zaludnił, lecz objawił przyszłość, to szerokie pole gdzie buja młodociana nadzieja, ten bogaty przestwor, utworzony przez Twórcę w niedoścignione granice.

— I gdy wszystko odzywało się w głębi duszy, nagle zadziwiła się nad przejmującém ją wzruszeniem i żądzą, wtenczas wzniosła oczy i ujrzała naprzeciw siedzącego Anzelma z utkwionym w nią wzrokiem. — Zarumieniła się wstydem, zdawało się bowiem że wzrok młodzieńca przeniknął jéj chęci, potrzeby duszy i że odgadł jéj wzruszenie, i gdyby przelotne uczucie mogło objawić myśl utopioną, byłaby zawołała, — Mości Anzelm, ciekawość pana zbyt jest śmiała.

— Lecz nie wyrzekła tego; — jeszcze bardziéj wzruszona przez gwałt sobie zadawany z powodu drażliwego położenia w jakiém się obecnie znajdowała, rzekła nareszcie do pana Feru.

— Przebacz pan, obarczono go interesem, ale jego nudów nie przewidziano. Masz pan się widzieć z p. Dalois dla powodów wspomnianych przez p. Cambet, a ja nie pojadę chyba bardzo późno —tak, późno, bez wątpienia, interesa zaś jakie go wzywają do St. Germain dosyć są pilne.

Anzelm się uśmiechnął i odpowiedział.

— W rzeczy saméj żaden nie wymaga méj bytności w St. Germain o téj lub innéj godzinie.

— Cóż znaczy list pana Cambet.

— Była to tylko zamówka.

— Zamówka?—dla czego, rzekła żywo Amelja.

—Pozór, aby ci nie towarzyszyć do Germain; odrzekł Anzelm również się podnosząc.

— Pozór, powtórzyła wolno Amelja i poglądała z przestrachem na około, ujrzawszy się samą zamkniętą z człowiekiem zaledwie znanym. — Pozór aby mi nie towarzyszyć i to bezwątpienia aby dla kogo innego....

— Nie pani, rzekł Anzelm przerywając Amelji, gdyż dostrzegł jéj powątpiewanie, nic podobnego nie powstało w głowie p. Cambet, ani nic nie może powstać, coby mogło kogo obrazić. — Racz pani przebaczyć, ale muszę wyjawić dziecińsťwo p. Cambet, że.....on się boi kolei żelaznych.

— Doprawdy, odpowiedziała Amelja, na pół wzruszona urojoną obrazą, jakiéj się obawiała,

napół z uśmiechem z wyjaśnienia które ją uspokoiło.

— A więc doprawdy się boi?

— Tak pani, bojaźń jego jest niezwyciężona, gdyż oparł się ostatecznéj probie, na jaką go chciał wystawić p. Dalois.

— Jakaż to proba?

— Towarzyszenia pani — Pan Cambet, gdyż muszę wszystko wyznać, skoro już odkryłem jego śmieszną stronę. — P. Cambet czuje dla pani tkliwy szacunek i uwielbienie o których zapewnie nie wiesz... Nie mówi on o pani jak z pewnem religjinem uszanowaniem i chęć uczynienia przysługi tak nawet małéj, nie mogła przezwyciężyć jego bojaźni, jeźli może ją co zwyciężyć. — Pan Dalois zawiódł się i tym razem, strach był silniejszy od uwielbienia jakie Cambet ma dla pani.

— Ha! odrzekła Amelja, westchnąwszy. bo uwielbienie starca wzruszyło ją do żywego, — mocno żałuję że tego dobrego człowieka tyle dla mnie dręczono.

Rzeczywiście bardzo był udręczony, odpor-

wiedział Anzelm. Nie wystawisz sobie pani jego udręczenia, od 7éj godziny zrana, wchodził i wychodził co chwila, wyszukując powodu zatrzymania i utrzymywał że to niesłychana płochość jechać na wieś w tak brzydkim czasie (deszcz wówczas jeszcze niepadał i do tego Cambet nie opuścił wizyty żadnéj niedzieli w St. Germain w jakimbądź czasie,) burczał mnie że mu nie dopomogłem do wydobycia się z kłopotu. Nareszcie nadeszła godzina ubrania, zamknął drzwi z łoskotem a po chwili wyszedł na wspak ubrany. Dwa razy się skaleczył przy goleniu, nie mógł wdziać pranych rękawiczek, szukał kapelusza, który nosił na głowie. O wtedy już nie mogłem się wstrzymać od smiechu, Cambet zbliżył się do mnie z tak odważną postawą jakby miał puścić się w drogę żelazną koleją z Paryża do Nowéj Zeelandji i zaczął wyrzekać na niesforność teraźniejszéj młodzieży. Jestem pewny, że gdybym mu wtenczas odpowiedział, byłby mnie wyzwał na pojedynek, aby się tylko uwolnić od jazdy po żelaznéj kolei. Ale nie chciałem aby mi się tak łatwo wyśliznął; wziąłem się więc poważnie do robo-

ty, a wtenczas zaczął przechadzać się wielkiemi krokami po pokoju, z gniewem którego pokryć nie umiał, — przerzucał rachunki, niszczył pióra, na koniec, nagle się do się do mnie obrócił dla zobaczenia nad czem pracuję. —Jeszcze nie obejrzał dobrze, a już zawołał.

—„To nie dobrze, zrobiłeś sześć błędów w tym rachuuku.

— Ale, rzekłem, proszę mi je pokazać.

— Ba, uderzają w oczy.

— Jednakże.

— Jednakże, — jednakże... obarczają wpana robotami którym niepodołasz, sam je przerobię...

— A pani de Leutral?

— I cóż, pojedziesz na moje miejsce, tymczasem będę za wpan pracować.

— Lecz nie śmiem sam się p. de Leutral przedstawić.

— Oh jeśli tylko oto idzie, zaraz bilet napiszę i prawie mówiąc to napisał list który pani oddałem. — Wyznam, iż dłużej nie miałem serca dręczyć poczciwego człowieka, przyjąłem z li-

łości jego zastępstwo, i spodziewam się że mu wielką radość sprawiłem, gdyż wkrótce z zwykłą dobrodusznością zawołał.

— Patrz jakto dobrze być młodym, wszystkie rozkosze na raz się do was cisną, starsi pomagają wam do dzieła, wyprawiając młodzieńca z piękną kobietą.

— Amelja się zarumieniła. — Przebacz pani mówił daléj Anzelm — to pan Cambet wyrzekł, a gdybyś wiedziała, ile mnie uaupominał.

— Naprzykład.

Anzelm milczał przez chwilę, potem rzekł. — przestrogi jego były zbyt długie, — mówił on: — Nie nalegaj, aby pani Leutral jechała lokomotywą, jest to głupia zabawka, chociaż zapaleńcom może się zdawać przyjemną, nie może ona jednak uwieść kobiety tak spokojnéj, tak doskonałéj, jak pani de Leutral. — Jestem więc gotów słuchać rad pana Cambet, i wybrać drogę, jaką pani uznasz za najlepszą.

— Prawdziwie, odpowiedziała Amelja, tonem zakłopotanym, lecz na pół wesołym, prawdziwie wyświadczyłeś pan wielką przysłu

gę panu Cambet, za którą powinien być wdzięcznym.

— Obawiam się aby tylko on sam nie był wdzięcznym.

— Jeśli jego wdzięczność wyrównywa przestrachowi to możesz się pan wielkiéj spodziewać.

— Jeżeli pani uważasz że przesadzam przerażenie p. Cambet, wkrótce przekouasz się za przybyciem do St Germaiu, gdyż pan Cambet jest bohaterem w porównaniu z p. de Fortis:

— P. de Fortis dostaje ataku nerwów, na samo wspomnienie o parowozach, para na ziem lub na morzu, jest podług niego szkaradnym potworem.—Mówi on zwykle,że para jest Minotaurem, któremu nasz wiek tyle ofiar co rok poświęca. — Sledzi on skrupulatnie i wyciąga z gazet wszystkie wypadki pęknięcia kotlów, wszystkie spotkania wozów parowych, liczy zabitych, połamane ręce nogi, i t. p.

— Lecz pomnąc na tyle wypadków smutnych nie można tego uważać za śmieszność, rzekła Amelja oschłym tonem.

W rzeczy saméj przywodząc sobie na pamięć

pana de Fortis, nie przyjemnie było Amelji tym razem, widzieć starego, celem pośmiewiska młodzika.

Była tem niejako poniżona, gdyż prawie zgodziła się go zaślubić, a przynajmniéj zapoznać się z nim w tym celu, a w takim razie cząstka śmieszności i na nią spadała. — Anzelm który jak się zdaje nie znał zamiarów p. Dalois omylił się także w tłómaczeniu przyczyny niesmaku Amelji, odpowiedział jéj zatem...

— Jeśli najmniejszą pani czujesz odrazę, pojedziemy innym rodzajem powozu.

Szczególna niecierpliwość objawiła się w Amelji, napróżno ją chcąc ukryć odpowiedziała.

— Nadaremnie panie zadajesz sobie trudy; postanowiłam nie jechać już na wieś, minęła pora, co raz wzrasta niepogoda, byłaby to nie bardzo przyjemna zabawka, zostanę więc w domu; i mówiąc to Amelja zdjęła mantyllę, rękawiczki, i obróciła się aby żegnać p, Feru, lecz wstrzymała się widząc

na twarzy Anzelma głęboką boleść. Wzrok jego tak się zmienił, że obawiała się czyli nie zasłabł. — Rzekła więc znowu ze słodyczą.

— Dziękuję panu, przebacz chwilowemu kaprysowi, wolę jednak pozostać.

Anzelm stał nieporuszony, Amelja mówiła daléj.

— Nie zapomniéj pan, że na niego czekają.

Anzelm zdawał się walczyć sam z sobą, a potem rzekł głosem w którym swoboda ustępowała bojaźliwości i tajemnemu cierpieniu.

— Pani także zapominasz że na nią oczekują.

— Cóż odpowiem, gdy mnie zapytają, dla czego pani ze mną nie przybyłaś?

— Dla tego że nie chciałam... że obawiałam się deszczu, kolei żelaznéj.

— Nie uwierzą... będą mnie obwiniać o...

— O cóż pana mogą obwinić?

— Że mam złą reputację, odparł Anzelm przybierając ton zwyczajny, wesoły z którym tak mu było do twarzy.

— Cóż pan nazywasz złą reputacją?

— Pan Cambet i Dalois twierdzą że jestem

półgłówkiem, gadułą, mówiącym wszystko co mi tylko przyjdzie do głowy. A jeżeli pani nie przyjedziesz, będą mniemać.., żem uchybił grzeczności, uszanowania, że nareszcie pani lękałaś się ze mną pojechać.

Niewinny i otwarty sposób wyrażeń Anzelma, zaspokoiły zupełnie Amelją. — Nie miał on już dumnego spojrzenia młodego zarozumialca pewnego samego siebie, przeciwnie stał, jak bojaźliwy student, to wymusiło śmiech na ustach Amelji, która rzekła.

— Bądź pan spokojny, dam mu przed p. Dalois dobre świadectwo.

— Najlepsze będzie obecność pani.

— Wiele przywiązujesz pan wagi, do mojej obecności u p. Dalois.

— Bardzo wiele, gdyż nie chcę źle być przyjętym, ani obwinionym. — Jeżeli pani nie przybędziesz, wszelkie usprawiedliwienia na nic się nie zdadzą; dobre o mnie świadectwo delikatności charakteru pani przypiszą — zresztą osądzą że mówiłem.

— O czem?...

— Oh... o niczem — odparł Anzelm z żywością...

Tu znowu zadziwiła się Amelja, a mniemając że Anzelm ukrywa przed nią jakąś tajemnicę w podróży do St. Germain, gdzie zapewne dowie się jakich ważnych nowin rzekła...

—Ha, ponieważ moja obecność konieczna jest do usprawiedliwienia pana, a więc pojadę do St. Germain.

— Przewybornie! zawołał Anzelm wesoło, pojedziesz pani koleją żelazną.

— Tak, pojadę.

— Ha wtenczas nażartujemy się oboje z p. de Fortis.

— Ah! zawołała Amelja z wyraźnem oburzeniem, pan de Fortis, zawsze pan de Fortis, dajże mu pan pokój i z jego śmiesznościami...

— Przebacz pani, odpowiedział Anzelm z niewyszukaną wesołością, gdyż serdecznie nim pogardzam;

— I dla tego źle o nim mówisz.

— Ochraniam go za wiele w nieobecności, ale gdy się znajdujemy oko w oko, nie oszczędzam go wtenczas, a on oddaje mi wet za wet, tak że między nami panuje otwarta i ciągła walka.

— Z któréj najczęściéj zwycięzko wychodzisz.

—Nie zawsze.

—Tak, bo mówiłeś pan że p. Fotis jest dowcipnym.

—Ma lat 50 a przez to wielką nademną przewagę gdyż jego wiek pozwala mu wszystko mi powiedzieć, a ja nie zawsze mogę odpowiedzieć.

—Ale dla czego nim pogardzasz.

Gdyż jest zimnym, samolubem — obrzydłym, bo pogardza wszystkiem co młode, gdyż zazdrości drugim nadziei serca, któréj już nie ma i nie miał, bo szydzi z uniesień szlachetnych i nadaje czarny kolor wszelkim wznioślejszym uczuciom, gdyż wreszcie że ja co jestem sierotą kocham kobietę bogatą i lepszego urodzenia, śmie powtarzać że ją kocham dla interesu, w chęci wywyższenia i przez próżność.

—Tak mówił, rzekła z uśmiechem Amelja, a więc to prawda?

—Co pani?.....zawołał Anzelm głosem wzruszonym—że kocham dla poziomego interesu, dla próżności?

—Nie, nie, panie, odparła Amelja, kojąc nowym uśmiechem oburzenie Anzelma. Jednak to prawda że pan kochasz bogatą kobietę?

—Tak... odpowiedział Anzelm pomieszany, a potem dodał, korzystajmy z pięknego czasu.

—Ależ panie deszcz leje.

—Prawda nie uważałem.

—Zdaje się iż samo niebo wymaga, akym nie pojechała do St. Germain.

—Ah! mój Boże zawołał Anzelm tonem zdradzającym ukrytą tajemnicę. Dzięki Bogu, jeżeli to przeszkodzi zaślubieniu się pani z p. de Fortis.

—Panie! odpowiedziała p. de Leutral z obrazą, nie rozumiem co pan chciałeś powiedzieć.

—Jakto? pani nic wiesz o niczem! Nie mogę wątpić, nie mogę wierzyć, aby kobieta anioł jak ty pani, zgodziła się na poświęcenie takiemu człowiekowi, byłoby to połączyć piękność

z brzydotą, młodość ze starością, wdzięki, dowcip, dobroć ze śmiesznością, samolubstwem złośliwością, to niepodobna.

—Daruj pan, odrzekła zimno p. de Leutral, lecz wdajesz się w rzeczy, ktore do ciebie nie należą.

—Które do mnie nie należą? — zawołał Anzelm—przebacz mi pani, zbłądziłem, jestem szaleńcem, zagorzalcem, jak mi to powtarza Dalois; za wiele słucham nierozważnych uczuć, za daleko się zapędzam, tak że staje się niesprawiedliwym, złośliwym. Mówiłem źle o panu de Fortis, śmiesznie go odmalowałem. Mogę go tak widzieć z moim gwałtownym charakterem, ale nie mam prawa go obmawiać. P. de Fortis jest galantem, jest to honor, uczciwość, uosobiona, która kobiéta będzie nosić jego nazwisko, nigdy nie potrzebuje się za niego rumienić.

—Oto usprawiedliwienie przynoszące zaszczyt usprawiedliwiającemu i usprawiedliwionemu.—Lecz pozwól sobie pan powiedzieć, że jeśli wiedziałeś o zamiarach p. Dalois, wtedy ufność

jego zawiodłeś uprzedzając mnie o panu de Fortis.

—Naprzód powiem pani, że p. Dalois nie powierzał mi swoich zamiarów, nie zdradziłem go wcale.

—Ale przynajmniéj działałeś wbrew jego projektom.

—To mi się często przytrafia pani, każdym razem kiedy źle zrobię. W domu gdy idzie o jaki interes wtedy przedstawiają się trzy sprzeczne potęgi. P. Cambet przedstawia jednę, to jest opozycją, walczącą o każdy nowy pomysł, o każdą rzecz, która chce aby szła odwiecznym trybem, z drugiéj strony ja przedstawiam postęp, krzycząc zawsze naprzód, nareszcie P. Dalois, jast to rząd, władza łagodząca, postępująca średnią drogą między moim popędem za nowością a nieruchawością P. Cambet, ciągnąc go jedną ręką za sobą, drugą mnie w polocie zatrzymuje.

—Wszystko to jest bardzo pięknie, trafnie, ale w tem nie widzę żadnego związku między mojem małżeństwem a p. de Fortis.

—Bo małżeństwo pani jest pomysłem pana

Cambet, pomysłem okropnie wstecznym, wmówionym w pana Dalois bez wezwania mnie do narady.

— I dla opozycji p. Cambet złem go znajdujesz, więc to dla miłości postępu, sprzeciwiasz się pan temu małżeństwu.

— Na honor, sądzę że zniesienie małżeństw źle dobranych oznaczałoby wielki postęp, w moralnem życiu społeczeństw.

Zbyt ostre są pańskie rozumowania, rzekła surowa Amelja. — Co nazywasz źle dobranemi małżeństwami, są one często szczęśliwsze niż te które spoczywają na mniemanych uczuciach lada wietrzykiem spłoszonych.

—Otóż znowu zbłądziłem pani — a jednakże przyrzekłem p. Cambet nie wspominać pani o panu de Fortis.

— Dla czegóż więc rozpocząłeś o nim mówić.

— Gdyż mając zlecenie towarzyszenia pani, powiedziałem sobie; pójdę do pani de Leutral, znajdę ją gotową do podróży, pojedziemy, —

W drodze będziemy rozmawiać o pogodzie, parowozach, gdyż pani znam się na lokomotywach, byłem bowiem uczniem szkoły politechnicznéj. — Tak przybędziemy do St. Germain. — Ale nieprzewidziana burza zmieniła stan rzeczy, pani pytasz się o osoby uczęszczające do domu p. Dalois, odpowiadam, z kolei nasuwa się pan de Fortis, nie jest to moją winą, choć utrzymują że jestem roztrzepanym, — Niestety niepodobałem się pani, i to jest największe nieszczęście jakie mnie spotkać mogło.

Kiedy Anzelm z całą mocą wymowy i wzruszeniem kończył ostatnie wyrazy. — Pani de Leutral usłyszała odgłos dzwonka w przedpokoju kilka razy powtórzony; Anzelm pośpieszył zobaczyć kto dzwoni, lecz wkrótce powrócił drzwi nie otworzywszy.

— Któż tam pani?

Pst...

— Co to znaczy?

Mamże otworzyć.

— Dla czegóż nie.

— Gdyż przez niespodziewane odwiedziny,

nasza podróż do St. Germain byłaby wstrzymana, a spodziewam się że jéj to nie zrobiłoby przyjemności.

— Ponieważ pan nie otworzyłeś, teraz już nie ma potrzeby.

— A więc idę szukać pojazdu.

—Zaczekaj przynajmniéj rzekła Amelja zatrzymując młodzieńca, dopóki ten co dzwonił nie zejdzie na ulicę.

— Prawda, należy się zapewnić o jego odejściu. — Mówiąc to wrócił do salonu i stanął w oknie dla przekonania się o odejściu osoby która dzwoniła, lecz wkrótce wrócił się od niego i rzekł.

— Dobrzem zrobił, żem nie otworzył, gdyż to była pani Dawin, najnieznośniejsza gaduła na ziemi.

— I do tego złośliwa.

— Siedziałaby przynajmniéj ze dwie godziny.

— Dla Boga spojrzała w moje okna przechodząc przez ulicę poznałam ją doskonale.

— I cóż z tego?

— Na to zapytanie, pani de Leutral została jakby skamieniałą — Co znaczy ta obojętność panie Feru, ale w tejże chwili nie mogąc znieść obrazy zawołała z gniewem.

— Jakto pan sobie masz za nic, że ona wszędzie rozgłosi iż widziała u mnie mężczyznę wtenczas, kiedy jéj odźwierny powiedział że jestem w domu sama, a jednak zamknięta i nie chcę otworzyć.— Cóżbyś pan powiedział, gdybyś poszedł nie mówię do żony, lecz do kochanki i zastał ją zamkniętą sam na sam z mężczyzną i do tego gdyby ci nie chciała otworzyć?

— Co za obrażające domniemanie.

—Obrażające domniemanie, powtórzyła z gniewem p. de Leutral, co sobie pan myślisz; wcale cię nie pojmuje, jesteś albo szaleńcem, albo złośliwym.

— Pani, jestem uczciwym człowiekiem.

— Ha, pan się ani domyślasz, że godne przyjaciołki rozstawiły już czaty na wszystkie strony, aby pilnować i sprawdzić kiedy pan ode mnie wyjedziesz, — to nie do zniesienia, to okropnie.

Anzelm z opartém o dłoń czołem stał zamyślony, potem jakby zwyciężając przeciwność gwałtownych myśli, rzekł spokojniéj.

— W istocie to niepodobna, przypadek, traf, zbieg okoliczności nie może pozbawić honoru uczciwéj kobiety. — Pozwól sobie pani powiedzieć, że jéj bojaźń jest zawczesną, z resztą nie ma tak złośliwego umysłu aby chciał nadać hanniebny cel zdarzeniu bardo naturalnemu.

— Tak mniemasz, zawołała Amelja z goryczą upadając na krzesło, gdyż łzy obfite zastąpiły miejsce gniewu. Tak sądzisz mości panie, czyż zawiść i ciekawość nie są mocnemi sprężynami dla obudzenia złośliwych języków, aby mnie zgubić w mniemaniu poczciwych ludzi.

— Anzelm nie mógł odeprzeć tego zarzutu, biegał po salonie i wznosił pięście do sufitu, nareście zawołał.

— Nieszczęście téj kobiecie, jeśliby się odważyła jednem słówem ukrzywdzić twój honor, odpokutowałaby za to stokrotnie, gdyż mogę ją zgubić na wzajem.

— Możesz ją zgubić?

— Mogę, odpowiedział Anzelm, nie zważając, że gniew unosił go za granicę roztropności...

— Wiem lepiéj niż kto inny że teraz cnota jest hypokryzją, mam tego dowody, bo posiadam jeszcze jéj listy.

— Jéj listy? zawołała Amelja.

— Listy pani Dawin i to listy własnoręczne do mnie pisane.

— Do ciebie, powtórzyła Amelja, zawieszając głos i spoglądając w oczy Anzelmowi, do pana? zapewne jako kochanka?...

— Byłem nim, jak wielu innych.

Amelja, podnosząc ręce z rozpaczy krzyknęła z boleścią.

—Patrz pan do czegoś mnie przyprowadził, że mój honor spoczywa w ręku i na łasce téj nędznicy.

Mości panie, mości panie, co bąć nastąpi, uchodź pan ztąd natychmiast, wychodź powtarzam.

—Uspokój się pani!..

—Ah panie, odrzekła pani de Leutral wstając z powagą, wychodź, zapominasz, że nie uznałam praw jakie ci twoja kochanka udzieliła do schańbienia mego honoru.

Anzelm chciał jeszcze coś powiedzieć na usprawiedliwienie, ale Amelia niedozwoliła mu tyle czasu, na drzwi ciągle wskazując powtarzała: wychodź.

Anzelm wziął kapelusz i już chwytał za klamkę kiedy wszedł odźwierny zapytując się młodzieńca czy on nazywa się Feru.

—To ja jestem.

—Oto jest bilet odpowiedział odźwierny zamykając drzwi za sobą.

Wypadek ten zatrzymał p. Feru. Stał on nieruchomy trzymając bilet w ręku bez odpieczętowania, kiedy pani de Leutral pożerała go oczyma. Nareszcie Anzelm chciał odejść, lecz zbliżywszy się do drzwi spojrzał niechcący na podpis, zadrzał wydawszy krzyk podziwienia i gniewu. Na tę oznakę wzruszenia, pani de Leutral poskoczyła ku niemu i zastępując ode drzwi rzekła stanowczo.

—Co to za list mości panie?

—Nie wiem....pani to...

—Jak to nie wiesz, a jednak szukają pana z nim aż w mojem mieskaniu.

—Lecz, pani.

—Któż mógł wiedzieć że się pan znajdujesz u mnie jeżeli nie pani Dawin?

—Mogłażbyś pani przypuszczać.

—Ten list jest od pani Dawin.

—Przysięgam!..

— O nie kłam pan; a ponieważ zrobiłeś ze mnie rywalkę pani Dawin, muszę zatem wiedzieć co pisze do ciebie ta kobieta.

Anzelm oddał list Amelji bez odpowiedzi...

— Wejdźmy do salonu.

Oboje powrócili na dawniejsze miejsca, oboje znowu milczeli.

— Pani, rzekł po długim namyśle Anzelm; ponieważ ten list, nowy gniew w tobie obudził, muszę się usprawiedliwić.

— Słucham tych nowych usprawiedliwień.

— Aby się usprawiedliwić szukam mojéj winy.

— Doprawdy.

— Tak... pani, szukam. — Bo z resztą cóż przewiniłem? Przybywam, deszcz pada, zatrzymujemy się i rozmawiamy, dzwonią, nie otwieram i oto wszystko...

— I jest kobieta, która uważa mnie za pańską uboczną kochankę, oczernia, szarpie mój honor, gubi w opinji i oto wszystko.

— Czyż ja to popełniłem i czy to prawda?

— Nie wątpliwie, ten list jest dowodem.

— A więc racz mnie posłuchać chwilę, powiem pani wszystko co uczciwy człowiek powiedzieć może.

— Słucham pana.

Anzelm zrobił niejakie wysilenie, i zaczął mówić przerywanym głosem:

— Jestem synem woźnicy p. Dalois, mój ojciec umarł w jego usługach ratując mu życie. — W chwili kiedy uniesione konie leciały z nim w przepaść, mój ojciec skoczył dla wstrzymania rozhukanych rumaków, wprawdzie je zatrzymał, ale w pierś dyszlem ugodzony

padł bez życia. — Miałem wtenczas lat 6; p. Dalois wziął mnie do siebie, umieścił na pensji a potem w szkole politechnicznej, zkąd zamierzyłem się udać do szkoły wojskowéj w Metz, tymczasem p. Dalois rozkazał mi pozostać przy sobie i powierzył mi niektóre interesa swego domu. — Odtąd upłynęło lat 4.

— Wiem że pan chciałeś obrać zawód wojskowy, lecz nie wspominasz dla czego zamiaru swego nie spełniłeś, chcę o wszystkiem wiedzieć.

— A więc pani, mówił daléj Anzelm, stało się to z powodu pewnego interesu, w którym p. Dalois człowiek 60 letni, będąc wplątany, został od młodzika w méj obecności znieważony. — Pomimo wieku podeszłego pan Dalois żądał zadosyć uczynienia honorowego, od nędznika który uchodził za sławnego w pojedynkach szermierza. — Dozwoliłem mniemać memu dobroczyńcy że może sam pomścić się wyrządzonéj obelgi, lecz zaledwie młodzik uszedł sto kroków, pospieszyłem za nim, wszcząłem umyślnie kłótnią, wyciąłem policzek, i przez to zmusiłem go do bezzwłocznego pojedynku. Aby

ocalić p. Dalois wypadało mi lub umrzeć lub zadać śmierć przeciwnikowi, bo ten nazajutrz po mym zgonie nie wachałby się zabić p. Dalois...

Oto jest powód dla czego raniłem nikczemnika i zmusiłem go do przeproszenia p. Dalois, oto jest powód dla czego raz w życiu korzystałem ze zręczności w szermowaniu bronią, którą to zręczność tak godną pogardy znalazłem w mym przeciwniku. — Odtąd żyję przy p. Dalois ze skromnéj pensji jaką mi wyznaczył i póty go nieopuszczę, póki moje usługi na co mu się zdadzą. — Jemu winienem to czém jestem.

— Takie poświęcenie przynosi panu zaszczyt, lecz pozwól, jaki mam wyprowadzić wniosek z tego wynurzenia.

Anzelm zdawał się jeszcze chwilę wachać, lecz uzbroiwszy się w odwagę tak mówił daléj.

—Otóż powiem pani, wiesz że jestem synem służącego, mniéj jak synem wolnego wieśniaka, mizernym kommissantem u bogatego bankiera, to jest człowiekiem żyjącym z nędznéj zapłaty.

Teraz kiedy zniszczyłem twą spokojność, honor, jak to pani wyraziłaś w chwili rozpaczy, dla wynagrodzenia tego, chceszże przyjąć imie służącego—pani co wiele dbasz o tytuły rodzin podzielisz że mój los—pani coś go szlachetnie z swym mężem dzieliła—ale nie, mogęż tego żądać szalony, czyliż mnie nie odepchniesz z pogardą. Ach dobrze uczynisz, wypędź mnie—trzeba wypędzić lokaja—wypędzić!...

I gdy to mówił gorzkie łzy potoczyły się po jego licach.

—Nie panie, nie wypędza się człowieka, co posiada honor i szlachetne serce, czémkolwiek był jego ojciec skoro nie splamił jego nazwiska.

—Co pani mówisz?—zawołał Anzelm, nie wypędzisz mnie, ha rozumiem — dodał z goryczą.

—Pozwól dokończyć. Nie biorą życia, i nie poświęcają swego, dla tego, że przypadek postawił kogoś w fałszywem położeniu, tylko miłość może uczynić podobną ofiarę a pan mnie nie kochasz—pan mnie nie kochasz!

—Pani....pani....zawołał Anzelm ze smutkiem i drzeniem — nię pytaj mnie o to, gdyż musiałbym wyznać!...

—Dokończ.

—Że cię kocham!

—Pan! odparła zarumieniona Amalia.

—Już oddawna. Wyjawiłem to nawet Panu Cambet, powiedziałem, że aby cię posiadać, czuję dosyć siły i zdolności, do ubiegania się za zaszczytami, za majątkiem, ale ta handlowa głowa z zimną rozwagą wskazała mi przedział jaki mnie dzieli od pani. Odtąd postanowiłem żyć samotnie na drodze służalstwa i zapomnienia.

Anzelm zamilkł—Amelji serce biło gwałtownie, spuściła wzrok i milczała.

—A teraz pani co rozkażesz?

—Lecz czyliż sam nie wspomniałeś, że tylko jedna droga pozostaje w takich okolicznościach.

— Bezwątpienia pani—odparł Anzelm drżącym od bojaźni głosem, lecz wyrzekłaś także, że trzeba kochać aby się komu oddać—Ja panią — kocham oddawna!..

— A ja ciebie od tej chwili, odpowiedziała Amelja podając Anzelmowi rękę.

— Jakto... pani — czy to być może — coś pani wyrzekła, Amueljo... pani —wołał młodzieniec zrywając się jak człowiek co został nagle uderzony niespodziewanym widokiem.—O Amueljo! rzekł ze łzami — powtórz, powiedz czy nie straciłem zmysłów.

— Cokolwiek, odrzekła z uśmiechem Amelja. — Oto jest co cię uspokoi, dodała oddając mu list pani Davin czytaj. — Anzelm wziął list i wyczytał co następuje.

„ Przebacz pan że mu niespodziewanym listem przerywam rozkosz jakiéj zapewne doznajesz — lecz przekonaną jesteś, że nie możesz dłużéj zatrzymywać listów które panu i mnie mogą zaszkodzić.

„ Nakoniec udało się wpanu, jesteś przyszłym mężem pani de Leutral, dawno uważałam że ją kochasz, jest ona bezwątpienia tego godna, gdy jeszcze p. Dalois myśli pana przysposobić za syna, abyś mógł śmieléj wzdychać do jéj ręki.

— Mnie! zawołał Anzelm! mnie.

— Kończ pan, mówiła Amelja.

„ A ponieważ p. Dalois nie wacha się dać swoje nazwisko synowi swego..... nie wyrażę kogo, przez wzgląd na siebie samą, kiedy nie uważał go być godnym tego przad czt rema laty, wtenczas gdyś mu życie ocalił; przeto życzę mu niespodziewanego zaszczytu!... Dowiedziałam się wszystkiego od p. de Fortis, który upuści St Germain nie chcąc być świadkiem scen sentymentalnych i szeregu niespodziewanek, jakich panu oszczędzono, bo jestem pewna, że pan Dalois uprzedził cię o wszystkiém.

— W każdym razie, zdaje się że możesz obejść się bez szczęścia jakie czeka cię na wsi, bo to którego kosztujesz w Paryżu wystarczy dla pana. — Życząc szczęścia obojgu, pozwól przypomnieć, że list obecny mogłam napisać do pana Feru, lecz nie należy on do p. Feru Dalois — uniżona sługa. Emilja Davin.

Kiedy młodzieniec skończył czytać, jakiś czas pozostał nieporuszony i blady, potem nagle z wybuchem radości zawołał.

— Ah, teraz nie chcę umierać.

— Co mówisz, panie, jaka myśl!

— Czy to prawda, czy to prawda, Ameljo. Ona spuściła wzrok i zarumieniona odpowiedziała po cichu, tak panie.

— Jeszcze panie.

Amelja wzniosła zwolna wzrok jaśniejący radością i rzekła powoli.

Alboż wiem jak cię teraz nazywać.

Anzelm pochylił się nad Amelją, objął jéj kibić, nie było słychać tylko ciche szemranie a potem głośny pocałunek. — W téj chwili gwałtownie pociągniono za dzwonek, a potem mocne sztukanie do drzwi zniewoliło Anzelma i Amelję do zaprzestania słodkich uścisków. — Oboje poszli drzwi otworzyć, i niezmiernie zostali zadziwieni ujrzawszy p. Cambet wchodzącego z miną pomięszaną.

— Chwała Bogu że was zastaję, zawołał, co za szczęście, jestem pewny że wiecie o wszystkiem.

— O wszystkiem, odpowiedział Anzelm, na honor o niczem nie wiemy.

— Dwa rzędy wagonów zatrzymane na drodze; zawołał Cambet, 10 osób zranionych, a kiedy mówią 10, to pewno będzie ze 100.

— Albo jedna, odparł Anzelm.

— Jedna, jedna, powtórzył z niesmakiem Cambet.

Sądzisz że na wszystkich piekielnych drogach trafiają się pojedyncze wypadki, para nie wysadza w powietrze tak małym kosztem. — Co bądź 10 lub 100, ale wy do nich nie należycie. — Byliśmy mocno niespokojni o was, gdyśmy się dowiedzieli w St Germain o wypadku i gdy was nie było widać. — Uroczystość była nie bardzo wesoła.

— Jaka uroczystość, zapytał młodzieniec.

— Tak uroczystość, albo ja wiem, kiedy mówię uroczystość, to tylko pewna, że wziąłem powóz pana Dalois i pędząc prawie zamęczyłem konie aby tylko prędzéj przybyć do Paryża i odwieść was do St Germain.

— Jakże to możesz uczynić, gdy konie za-

męczone, odrzekł Anzelm na przekorę pana Cambet.

— Przyrzekły umrzeć dopiero w St. Germain, odparł Cambet naśladując ton żartobliwy Anzelma.

— A pan przysiągłeś milczeć aż dotąd, nie prawdaż panie Cambet, powiedział młodzieniec.

— Milczeć, o czem odparł Cambet z kłopotem.

— O czem!...

W téj chwili Amelja ubrawszy się po raz trzeci weszła do salonu i rzekła z wzrokiem w którym szczęście i miłość jaśniały.

— Anzelmie, podaj mi rękę.

Anzelmie!? — Powtórzył poczciwy starzecz.

— Jedźmy Ameljo, odrzekł Feru spoglądając na Cambeta z miną znaczącą.

— Ach, ach! zawołał stary kommissant — Anzelm, Amelja — ho, wiedzą wszystko, a pan Dalois co rachował tyle na niespodziewankę.

— Przynosiemy mu jednę, odpowiedziała Amelja.

— A to jaką?...

— Że się kochamy, rzekł z radością młodzieniec podając rękę Amelji.

IMMORTELKA.

*
* *

Luby kwiateczku! ciebie nazwano
Nieśmiertelności wyrazem,
Twe listki zawsze świeże zostaną,
Tyś jéj najlepszym obrazem.

*
* *

W twym kwiatku wdzięczność nam się maluje,

Bo chociaż życie już gaśnie,
W cnotliwem sercu — dopóki czuję,
Wdzięczność do zgonu nie zaśnie.

* * *

Tyś jest prawdziwéj przyjaźni wzorem,
Ona tak rzadka na świecie,
Prowadź człowieka jéj pięknym torem,
Bo w tobie niezwiędła przecie.

* * *

O! ten najwięcéj twą wartość czuje,
Kto cię od lubéj ma w darze,
Bo twój kwiateczek jemu zwiastuje,

W przyszłości ślubne ołtarze.

* * *

Twój kwiatek wiecznie — ah! wiecznie (żyje,
Choć wszystko niknie na ziemi,
Choć wdzięczność, przyjaźń, zimny głaz (kryje,
Po nich pamiątki trwałemi.

* * *

Kiedy już zgaśnie życie człowieka,
Zostaje tylko wspomnienie,
A to nie trwałe — i to ucieka,
W dalekie Niebios sklepienie.

* * *

Przyjaźni!—schowaj dla mnie kwiateczek,
A gdy Bóg życie nie skróci,
Niech z Immortelek luby wianeczek,
Twa ręka na grób mój rzuci.

Jan H...

„GOSPODYNI I GOŚĆ."

(prawdziwe zdarzenie)

Liczne wojsko Napoleona, przez zbyt ostrą zimę wówczas w Rossji panującą coraz bardziéj się zmniejszało, przez co musiano nowe zaciągać w prowincjach francuzkich. Los także padł na młodego Franciszka syna podeszłego młynarza w Normandji. Rodzice opłakiwa-

li utraty swego jedynego syna, lecz młodzieniec przywiązany do swego kraju śmiało wstąpił w szeregi młodych wojowników. Służył w jednym pułku Szasserów gdzie przez regularność i dobre postępowanie był w krótkim czasie mianowany sierżantem. Przybywszy do miasteczka w Niemczech, otrzymał kwaterę w małym domku pewnéj wdowy.

Franciszek posiadał piękne i mocne uczucie dla honoru i sławy, do którego się także i miłość przyłączyła.

Mąż wdowy Trostreich umarł jeszcze przed 12tu laty zostawiwszy po sobie dość znaczny majątek i pięcio-letnią córeczkę imieniem *Rózię* która już teraz miała lat 17. Wszyscy prawie mężczyzni tego miasteczka byli zachwyceni widokiem téj pięknéj Rózi, i wielu młodzieńców ubiegało się już o jéj rękę u matki. Lecz odmówiła tym zalotnikom, myśląc że ta dziewczyna jest za młodą do stanu małżeńskiego i może jeszcze lat kilka używać kwiatu młodości. — Rózia nie miała też nic przeciwko temu, a chociaż często obcowała z niektóremi sąsiada-

mi, nikt jednak nie zajął jeszcze jéj serca, ale snuły się już w jéj wyobraźni owe złote marzenia, jakto bywa u wszystkich dziewcząt tego wieku. Gdyż lubo matka zabroniła jéj czytania romansów, pożyczała sobie jednak podobnych książek u jakiéj przyjaciołki które tylko w nocy w łóżku czytała. Lecz skoro świeca zgasła, Rózia zmówiła modlitwę wieczorną, potem słodko marzyła o młodzieńcu, którego ideał sobie utworzyła może z tysiąca rysów jakie znalazła w owych tak zajmujących ją książkach.

W tym to właśnie czasie Frauciszek, piękny i żywy Sierżant otrzymał był kwaterę u wdowy Trostreich, nie widział on nigdy tak miłej i powabnéj dziewczyny, i niezmiernie był wdzięczny kwatermistrzowi za umieszczenie go w tym domu. I Rózia znalazła upodobanie w tym pięknym młodzieńcu, zdawało jéj się widzieć w Franciszku owego Adonisa którego sobie zawsze wyobrażała. Jéj matka spostrzegła wprawdzie tę wzajemność, lecz mało na to zważała, myśląc że sierżant za kilka dni opuści to miasteczko, a z resztą Franciszek przez swą grzeczność taką umiał sobie zjednać przyjaźń

wdowy, że ona nie śmiała mu przeszkodzić obcowania z jéj córką, które jego uszczęśliwiać się zdawało. — Lecz pułk żadnego jeszcze nie uczynił przygotowania do wymaszerowania — a im dłużéj młoda para razem zostawała, tém bardziéj powiększała się ich wzajemna miłość — Teraz dopiero obawa matki stała się widoczną i wymyśliłaby zapewne środek do wydalenia dziewczyny z swego domu na dalszy czas pobytu francuzkich jezdców, gdyby mordercza choroba pod imieniem gorączki epidemicznéj i jéj domu nie nawidziła. — Na taką chorobę Rózia zapadła. Franciszek błagał na kolanach matkę aby pozwoliła mu czuwać w nocy przy Rózi, wdowa dała się do tego nakłonić...

Śmiertelnie chora dziewczyna była tylko zajęta obrazem ukochanego młodzieńca, którego imie często wymawiała. Teraz dopiero matka poznała całą moc jéj namiętności, co ją niezmiernie zasmuciło. W tak okropnym stanie zostając, nie wiedziała czy prosić Boga o śmierć lub ocalenie. —Jeśli dziewczyna, myślała sobie, wyzdrowieje i nową zakwitnie świeżością, młodziemec zaś podobnie jak wielu jego towarzyszy stanie się może w bitwie ofiarą śmierci,

wiedy, jakiż los opłakany spotka jéj córkę? Wiedziała ona dobrze że nikt nie zdoła wyrugować z serca córki obrazu pięknego młodzieńca. I jakże dobry był Franciszek! Każdą wolną godzinę od służby przepędzał przy łóżku w gorączce leżącéj Rózi, podawał jéj sam lekarstwo, co noc prawie czuwał przy cierpiącéj, czasami nawet matka zastała go modlącego się na kolanach przy jéj łóżku. Zdawało jéj się widzieć pierwszy raz tak dobrego i cnotliwego młodzieńca i kochała go jak własnego syna. Po niejakim czasie, stan Rózi zaczął się polepszać, godny lekarz zapewnił, że matka po większéj części winna ozdrowienie córki, starannemu pielęgnowaniu Franciszka.

Matka ze łzami radości przycisnęła młodzieńca do swego serca, słysząc to oświadczenie lekarza. Teraz dopiero i Rózia dziękowała swéj matce i Franciszkowi za czułe około niéj starania, nadewszystko co za radość była dla niéj, spostrzegłszy że matka nie gani jéj skłonności do Franciszka. To zbawienniéj działało na jéj zwątlone ciało niż najmocniejsze lekarstwo, a lubo jeszcze nie mogło łóżka opuścić, zakwitnęły jednak jéj lica na widok piękne-

go młodzieńca proszącego o cierpliwość i odwagę przy tak długo trwającéj chorobie. Wtedy czule uścisnęła mu rękę, a jedna tylko łza w jéj niebieskiem oku więcéj mu wyrażała niż słabe i ciche słowa. — Tym sposobem zakochani niezmiernie się cieszyli z swych czystych i niewinnych uczuć, a dzień zupełnego wyzdrowienia Rózi nie równie większą zgotował by im roskosz — gdyby nie nagła choroba Rózi utkwiła jadowitą strzałę w jego zdrowem ciele. Pani Trostreich chętnieby go trzymała w swoim domu pod najczulszą troskliwością, lecz jego choroba nie mogła być utajoną przed przełożonym i zaprowadzono go dotkniętego mocną gorączką do lazaretu wojskowego.

Boleść kobiet była nie do opisania i ledwo ozdrowiona Róża wpadła znowu w okropną chorobę. W paroxyzmie jak okłąkana wołała nieustannie załamując sobie ręce,, Patrzcie, otóż teraz zakopują mego Franciszka w grobie co raz głębiéj. Ze śmiercią wszystko się koń-

czy! Rzucie i mnie, chcę razem z nim być zakopaną! Czemu się wzbraniacie? Wszak on jest mojem sercem! o jakże mile przy nim spoczywać! — Biedna matka rozpływała się we łzach i usiłowała uspokoić córkę, lecz Rózia wlepiła w nią swój straszny wzrok krzycząc przeraźliwie,, Otóż nadchodzi!" potem uśmiechała się mile, jéj rysy nie dawno trwogę wzbudzające, stawały się coraz łagodniejszemi, a biorąc rękę matki, mówiła do niéj pocichu: Widzisz matko, Franciszek jest wiernym, jam to dobrze wiedziała, przyjmij go grzecznie, czy słyszysz, oto z grobu do ciebie przychodzi, takiego wiernego gościa trzeba szanować droga matko!

W takich to strasznych fantazjach leżała nieszczęśliwa dziewczyna dzień i noc, a lekarz wątpił czy ona wytrzyma drugą krysys, ponieważ nie ma tyle mocy naturalnéj jak przy pierwszéj, nie pozbawił jednak rozpacającą matkę zupełnéj nadziei. — Jakkolwiek bolesną była dla niéj choroba jedynéj córki, dobra kobieta, nie przestawała jednak

mieć starania o wiernym Franciszku. — Posyła mu do lazaretu wszystko co tylko mogło służyć jego zdrowiu, lub kazała służącéj codziennie dowiadywać się o stanie choroby. Lekarze utrzymywali że młodość dozwoli mu wytrzymać tę chorobę, ale zakazali mu wszelkiego ostrego napoju. Mimo tego prosił jednego razu służącę aby przyniosła ze sobą butelkę wina, mówiąc, że ten posilający napoj nowéj mu doda siły. Udało jéj się po kryjomu przynieść butelkę dobrego reńskiego wina, nierozsądna, mocno się cieszyła spełniwszy prośbę tego godnego młodzieńca. — Ach! gdyby wiedziała jakie smutne skutki to za sobą pociągnie, jéj radość nie byłaby tak wielką. — Przyszedłszy nazajutrz do lazaretu dowiedzić się o stanie choroby, usłyszała ze drżeniem że téj saméj nocy umarł i położono go między umarłemi. Lecz biedna nie pomyślała o tem że ona mu truciznę podała, przeciwnie, czuła nie jaką ulgę zdoławszy mu przed śmiercią to dobrodziejstwo wyświadczyć. — Płonąc przynosi do domu tę smutną wiadomość.

Wdowa Trostreich przepędziła cały dzień

Wdowa Trostreich przepędziła cały dzień wśród płaczu i jęków, lubo lekarz teraz więcéj okazał nadziei przywrócenia Rózi do zdrowia niż niegdyś. Lecz na samą myśl, donieść Rózi o śmierci Franciszka, gwałtowna boleść ją dotknęła.

„Ta wiadomość, zawołała ona w największéj rospaczy, wtrąci zapewne moją córkę do grobu, wtedy zostanę zupełnie bezdzietną, — starą biedną, nieszczęśliwą matką! na co mi potem dłużéj żyć skoro moje dzieci pomarły — żadnéj dla mnie nie będzie pociechy na téj ziemi. — Było już około wieczora, gdy przyjaciółka pani Trostreich przychodzi dla dowiedzenia się o zdrowiu córki. Tu opowiedziała jéj swoje nieszczęście oraz stosunki jakie zaszły między jéj córką i nieboszczykiem. Wdowa prosiła aby przyjaciółka przy córce została, gdyż ona chciała pójść do szpitala dla widzenia jeszcze raz umarłego Franciszka nim będzie w grobie pochowany,

w którym razem z wielą towarzyszami snem wiecznym spoczywać będzie. — Zimny dreszcz przebiegł członki wdowy i okropne drzenie ogarnęło jéj skrwawione serce, bo czyż córka zaraz tego nie przepowiedziała?

III.

Pani Trostreich przebiegła wiele ulic aż dostała się do Szpitala, przyszedłszy tam postrzegła wielu ranionych żołnierzy, których na wozach położono. Spytała się jednego starca o Franciszka czy i on tu się znajduje, ale ten jéj odpowiedział zimno, że przed godziną wszystkich umarłych do grobu rzucono.

Wdowa zadrżała na tę odpowiedź i rzewnie płakać zaczęła mowiąc, czemu nawet i téj

ostatniéj nie mamy pociechy widzieć swego wiernego gościa choć po śmierci. — Potem przedarła się przez tłum żołnierzy i pobiegła czemprędzéj do domu.

Jazda francuzka, nie mogąc utrzymać tego miejsca z powodu ogromnéj mocy zbliżającego się sprzymierzonego wojska, musiała się cofac czemprędzéj do środkowego punktu swego korpusu.

IV.

Dobra niewiasta przyszedłszy do domu zastała swoją przyjaciołkę siedzącą jeszcze przy śpiącéj córce, opowiedziała jéj wszystko co widziała.

Kobiety dziękowały Bogu że Francuzi tak prędko się cofnęli bez najmniejszego oporu.

Pani Trostreich prosiła przyjaciołki aby została u niéj na wieczerzy, czego ta nie odmówiła.

Służąca wołała już do stołu. Matka niechcąc Rózi opuścić, prosiła przyjaciółkę aby ona wprzódy jadła. Ledwo co jéj przyjaciółka usiadła przy małym stolku dla niéj i gospodyni nakrytego—zapukano przy drzwiach — otworzyły się—i wchodzi Franciszek w śmiertelnéj koszuli, blady z zdrętwiałemi oczyma i założonemi na serce rękami. Za jego zbliżeniem, rozległa się woń trupa po całym pokoju, a ta niegdyś piękna twarz była tak wynędzniała i zmarszczona, jak gdyby już kilka tygodni w grobie leżał. Usiadł na krześle przy stoliku, dziko wytrzeszczając oczy na przyjaciółkę domu naprzeciw niego siedzącą; przerażona służąca straszny krzyk wydała; lecz przyjaciółka posiadała jeszcze tyle przytomności, że mogła zawołać gospodynię do gościa z państwa umarłych. Ta postrzegłszy Franciszka w śmiertelnéj koszuli bez ruchu przy stole siedzącego, krzyknęła przeraźliwie i padła w objęcia obok niéj stojącéj przyjaciółki. Franciszek nic nie mówiąc pa-

trzał się daléj z zdrętwiałemi oczyma na pałą-cą się świecę. Służąca pobiegła natychmiast po lekarza który przyszedłszy, ocucił najprzód gospodynię, dotychczas bez znaku życia na sofie leżącą, potem kazał zawołać kilku mężczyzn w tym domu mieszkających, aby francuza położyli do łóżka dla rozgrzania go. Skoro gospodyni przyszła do siebie spytała się drżącym głosem. Czy już poszedł mój wierny gość? czyż Rózia tego nie przepowiadała, że przyjdzie do nas nawet po śmierci, wiedziała ona dobrze że Franciszek wiernym jéj zostanie, czemużeście go wypędzili, wszak on był tak wiernym i dobrym! — Obecni uspokoili ją zapewniając że leży w łóżku i dopiero dała się rozebrać; położono ją więc na łóżko w osobnym pokoju. Lekarz wychodząc rozkazał, ażeby przy każdym, to jest gościu, gospodyni i Rózi, jeden całą noc czuwał. Przyjaciołka chciała zostać przy wdowie i córce, a dwaj mężczyzni mieli czuwać przy Franciszku. — Była to ponura i dżdżysta noc jesienna roku 1813. Zimny wiatr północny, gwizdał po ciemnych uliczkach, gdzie tu i owdzię lampka

użyczała jeszcze słabych promieni światła przez okienko, stała ona może przy łóżku drogiego dziecięcia — lub jaka rodziua siedziała nie mogąc spać z powodu zbliżającego się wojsku sprzymierzonego.

W saméj rzeczy słyszauo ku wieczorowi kilka wystrzałów z armat z téj okolicy z któréj sprzymierzeńcy przybyć mieli. — Mimo tego wdowa i córka mile drzémały, a o Franciszku doniesiono przyjaciołce o północy, że już nie żyje — gdyż do tego czasu jeszcze się nie ruszał i najmniejszego nie okazał znaku życia. — Wtém stara mchem obrosła wieża kościelna zaczyna bić godzinę 12, a służąca która przy córce czuwała zmówiła za każdem uderzeniem dzwonu Ave Maria, za chorę i umarłego gościa. — Za ostatniem uderzeniem otworzyły się oczy Rózi, ogląda się, a spostrzegłszy wierną służącę uśmiechnęła się mówiąc do niéj miłym głosem„ Katarzyno, obudź mojego Franciszka. Wiem to dobrze że wczoraj wieczorem znowu powrócił i śpi niedaleko mnie. Ja tego sobie nie uroiłam, wiem to z pewnością. Spiesz do mojego narzeczonego, obudź i przyprowadź

go do oblubienicy, " Służąca gorzko płakać zaczeła, myśląc że teraz już ostatnia godzina Rózi nadeszła; zapukała przeto drząc cała przy drzwiach oddzielających sypialnią matki od pokoju Rózi. Przyjaciołka usłyszawszy pukanie, chciała pobiedz do służącej by się dowiedzieć co się tam stało, w tém podniosła się i wdowa z łóżka i rzekła do przyjaciołki cichym głosem: ,,Moja dobra przyjaciołko, zawołaj Rózię i Franciszka—chcę ich pobłogósławić nim się połączą, gdyż oni żądają błogosławieństwa matki!" Przyjaciołka przerażona tą pomieszaną mową myślała że i matka zapadła na gorączkę nerwową i że teraz pokazuje się już paroxyzm. Chciała zadzwonić dla uspokojenia wdowy na jednego z czuwających przy Franciszku, aby poszedł po lekarza, w tém wpada jeden z nich do pokoju blady i drzący krzycząc: ,, Boże litościwy! pomóż nam — nieboszczyk żyje, pyta się o Rózię i jéj matkę! — Matka to usłyszawszy, podniosła się znowu, i zawołała śmiejąc się przeraźliwie:

„ Sąsiadko, nie powiedziałam ja że Franciszek pragnie widzieć moją córkę. Nie chcieliście mi wierzyć. „Obróciła się znowu do przybyłego i prosiła go miłym głosem; Słuchaj przyjacielu, przyprowadź mi Franciszka i Rózię, proszę cię bardzo o to„ potem upadła na łóżko, osłabiona, nie mogąc słowa więcéj mówić. — Chciano posłać po lekarza, ale on właśnie nadszedł. Lekarz usłyszawszy całe to zdarzenie udał się natychmiast do pokoju Franciszka. Ten leżał chustkami związany, gdyż musiano go wstrzymać aby nie poszedł do pokoju Rózi.

Lekarz, czemprędzéj odwiązał mu ręce, a ubrawszy go w inne suknie, prowadził go powolnemi kroki do pokoju przed łóżko choréj dziewicy. Tu Rózia otworzyła oczy— wydała głośny krzyk i padła w objęcia młodzieńca. Lekarz kazał przyjaciółce przyprowadzić matkę. Ta wchodząc do pokoju ujrzała wdowę śmiejącą się we śnie i wołającą wesołym głosem macierzyńskiéj radości: „Franciszku! Ruziu!‘ Otworzyła oczy, i poznała przyjaciółkę przed łóżkiem stojącą, któréj się spytała: „gdzież są

moje dobre dzieci?" Natychmiast przyjaciółka podniosła ją i zaprowadziła do pokoju córki. Franciszek trzymał jeszcze Rózię w swém objęciu i okrywał jéj lice tysiącem pocałowań. Lecz matka wyrwała się z rąk prowadzącéj przyjaciółki i uścisnęła w swych objęciach odrodzone dzieci. Osłabiona Rózia upadła na łóżko blada i drżąca, lecz lekarz mówił z spokojną miną: „wytrzymała Bogu dzięki kryzys, Rózia wkrótce zupełnie będzie zdrowa. Oddalmy się teraz i użyczmy jéj potrzebnego snu, gdyż ona bardzo znużona."

Tu matka i Franciszek ucałowali w zimne czoło spiącą Rózię i uściskali lekarza stojącego między szczęśliwemi jak zbawczy anioł od nieba zesłany.

W tem zabrzmiały trąby. Lekka jazda przedniéj straży sprzymierzonych pędziła w największym galopie po ciemnych ulicach wołając. Światła światła!— I natychmiast zapalono świece we wszystkich oknach. Katarzyna musiała swiecę zapalić w oknie i czekać w przysionku z innemi domownikami dla przyjęcia żołnierzy pytających się o kwaterę.

Gospodyni zaś, Franciszek i lekarz udali się do innego pokoju, gdzie Franciszek opowiadał że wypiwszy butelkę wina przez służącą mu podaną, był w jakiemś otrętwieniu pogrążony. W tym stanie musiano go uważać za umarłego, gdyż ocknąwszy się leżał na grobowéj desce ubrany w śmiertelną koszulę. W tém okropném będąc położeniu usiłował krzyczéć, lecz nie było podobna, potem znowu wpadł w głęboki sen po którym obudziwszy się miał już tyle sił że mógł do drzwi trafić; lecz jakim sposobem dostał się do swojéj dobréj gospodyni i na łóżku położony został tego wiedzieć nie może.— Tyle tylko sobie przypomina że ocknąwszy się widział Rózię wyciągającą ku niemu ręcę, i że wprzódy śniło mu się o Rózi i matce. Wtedy wszystko mu już było znane, i pobiegłby natychmiast do Rózi, gdyby go nie związano. Uszczęśliwiona matka i Franciszek podziękowali Bogu i lekarzowi za to cudowne zbawienie.

Od tego czasu oświadczono Franciszko-

wi iż jest niezdolnym do wojska, i otrzymał uwolnienie od służby.

Teraz dopiero doniosł matce o swojem szczęściu, przyrzekając po ślubie odwiedzić ich choć raz z swoją piękną małżonką. Franciszek istotnie nie długo potem dotrzymał słowa.

I. E.

CYGANIE W XV WIEKU.

(powieść Fryderyka Soulié)

Rzecz o któréj chce wam opowiedzieć stała się w r. 1427 w wieku, który wszystkie nieszczęścia sprowadził na uciśnioną Francję. — Wtenczas to, kiedy ją Anglicy niszczyli, a wojna domowa dopełniła ucisku, przybył jeszcze

jeden rodzaj plagi nieznanej i gnębiącéj ją przez czas długi.

W epoce téj, Landit, miejsce najdawniejszego targu w Paryżu, o którym wspominają kroniki, że został ufundowany przez Dagoberta, znajdował się na równinie między Chapelle a St Denis. —wznosiło się tam drugie miasto sklejone z desek i płótna, miało ulice, szynki i fontanny, ludność liczną i obcą przybyłą zamieszkać to niknące miasto tak prędko jak zostało zbudowane. Mieszkańcy jego składali się z ludów przybyłych nie tylko z Francji ale z wszystkich krańców Europy. Zbiegano się tam nawet z Azji i Afryki. — Ważny to jest i godny uwagi przedmiót, ów zbiór ludzi wiedziony nadzieją handlu i zysku. — W czasie o którym mówię i dawniéj, stosunki handlowe ściślejsze jeszcze były niż są teraz między Anglją i Portugalją. — Z jednéj strony wschód nie był tamowany w sprawach kupieckich od Turków przez różność religji, z drugiéj odkrycie Ameryki, nie zwróciło jeszcze wszystkich sił Europy ku nowemu światu.

Widziano wtenczas w tych niezrównanych bazarach otwierających się o naznaczonéj godzinie, negocjantów których dzisiaj widząc w stolicy Francji z podziwieniem patrzaliśmy. — Przebywali oni przez kraje bez dróg, napełnione zbójcami, szli w gromadach uzbrojeni jak żołnierze i wykonywali podróże, któreby teraz zadziwiły najodważniejszych spekulantów, chociaż mamy poczty, drogi i koleje żelazne.

Mimo tego, zdziwiono się mocno ujrzawszy około pareset ludzi przybyłych na targi do La Chapelle, z twarzy i ubioru zupełnie obcych.

Ubiór ich składał się z kaftana i małéj czapki, nakształt tych jakie nazywamy greczynkami, i płaszczów z materji podobnéj do skręconych i połączonych z sobą sznurków, zawieszonych z boku na jedném ramieniu. — Włosy nosili czarne i kręcone a w uszach wisiały wielkie srebrne kulczyki.

Był to pierwzzy i osobliwszy widok rasy ludzi we Francji nazywanych cyganami, długo

gnieżdżący się w Anglji, jakich można jeszcze napotkać w górach Hiszpanji i których szczątki wyłudzają pieniądze z łatwowierności mieszkańców południowéj Francji.

O ich losie i pochodzeniu nie wiele co pewnego można powiedzieć, chociaż rożne są domysły.

Pewien z młodych uczonych naszego czasu, wynalazł między staremi pargaminami wyrok z roku 1445 wskazujący dwóch cyganów na spalenie żywcem, za dopuszczenie się czarów, i za nauczanie niejakiego Gilles Maldetour robienia napoju, który nadawał pozór śmierci tym co go użyli.

Pozwólcie nam opowiedzieć wypadek, jaki dał powód do powyższego sądu.

W okolicach Poitiers, niedaleko miasteczka Lusignan, gdzie jeszcze spoczywają ruiny zamku tegoż nazwiska, żyła banda cyganów kryjąc się w rozległym lesie. Odkąd założyła tam siedlidlisko, nie mówiono o niczem, jak o skradzionych dzieciach, i nagle zmarłych osobach, jakby niewidzialną uderzonych ręką.

W owem miasteczku mieszkała młoda dziewica nazwiskiem Pasqueta Launay, była ona sierotą, otrzymała tylko po rodzicach grunta należące do posiadłości zamku Lusignan. Majątek i nadzwyczajna piękność dziewicy, uczyniły ją przedmiotem zabiegów wielu z okolicy szlachty i rycerzy. Miedzy innemi zapaliła gwałtowną miłość w szlachcicu Gilles Maldetour i pewnym rycerzu którego kronikinazywają Bartolomeo; obadwaj byli wazalami hrabiów Lusignan, obadwaj usiłowali pozyskać sobie przychylność Paskiety; ale pobożność i surowa cnota, wystarczyły słabéj dziewczynie, do oddalenia wszęlkich sideł, jakie jéj niewinności zastawiali.

Pewnego dnia pod wieczór, przechodząc Bartolomeo około samotnego domku Paskiety, usłyszał męzkie głosy, a chociaż nie mógł zmiarkować co mówiono, jednakże poznał, że to był głos młodzieńca i do tego kochanka.

Gniew jaki opanował Bartolomea po tem odkryciu, zniewolił go do zapukania we drzwi; byłby je niezawodnie wysadził, gdyby mu od-

mówiono otworzyć, zbliżywszy się ujrzał cienie dwóch ludzi, dających na niego baczenie. Bądź to przez postęp, bądź też na widok nieznajomych w dziwacznym ubiorze, dosyć że Bartolomeo nie odważył się wnijść daléj i usiadł na ławce przed domkiem, jak człowiek szukający spoczynku.

Jednakże słyszał ciągle dwa głosy odzywające się wewnątrz domu, i widział dwie męzkie postacie nie mające zamiaru opuścić domku. Już godzina upływała a przytłumiona rozmowa nie ustała. Wkrótce utrudzenie, sen a nawet niejaka obawa wkradająca się w umysł Bartolomea, zmęczyły kolejno jego ciało, wszystkie otaczające przedmioty, przybrały obraz smutku i ponurości. Zdawało się mu, że drzewa tańczą do koła, a dwie odrażające postacie coraz rosną i wierzchołków drzew głowami dosięgają. Pasując się z dziwnemi widzidłami i uczuciami, Bartolomeo porwał się z miejsca, poszedł ku drzwiom i silnie w nie uderzył, ale z wielkiem podziwieniem spostrzegł, że same się otworzyły.

Słabe światełko, postawione nae kominie, nie dozwoliło mu rozpoznać co się działo w izdebce Paskietty, usłyszał tylko wyrazy: już się skończyło, możesz zabrać z sobą dziewicę—a zbliżywszy się do miejsca zkąd głos pochodził, postrzegł człowieka, w którym poznał cygana, po ogorzałéj żółtéj twarzy i kędzierzawych włosach. — Stał on pochyłony nad łożem Paskietty, która spoczywała w śnie głębokim pogrążona, i bynajmniéj nie przebudziła się na krzyk podziwienia Bartolomea.

Człowiek który wymówił powyżéj przytoczone wyrazy, spostrzegłszy że Bartolomeo nie był tym na którego zapewne czekał, poskoczył do niego i uderzył sztyletem tak silnie, że nieszczęśliwy upadł zaraz na ziemię. — Nie wiadomo czyli go zabił, czy też tylko ranił, to pewna tylko, że bez najmniejszégo jęku leżał rozciągniony na ziemi. W rzeczy saméj cygan nie zręcznym ciosem, w świetle słabo tlejącéj lampy skaleczył tylko mocno Bartolomea, który przyszedłszy do przytomności, ujrzał nie długo wchodzących dwóch ludzi, jeden z nich był

cyganem, a drugi jego sąsiad Maldetur. — Ten ostatni zbliżył się do łóżka dziewczyny, i położywszy rękę na jéj czole i sercu, zawołał z rozpaczą.

— Zwiedliście mnie szkaradnie, ona nie żyje, jéj dłonie jak lód zimne, serce bić ustało, wszakże nie toście mi przyrzekli.

— Cośmy przyrzekli, to dopełnili, odrzekł cygan, ona zimna i skościała, lecz nie umarła. — Za dwa dni skoro się przebudzi ze snu letargicznego, będzie tak czerstwa i piękna, jak przed zaśnięciem. — Pan raczéj nie dotrzymałeś słowa, gdyż zaręczyłeś nam, iż nie dozwolisz żywéj duszy zbliżyć się do tych drzwi, w czasie naszéj tu bytności, a oto ten człowiek wszedł niepostrzeżony i tylko koniec mojego sztyletu, ocalił nas od niebezpieczeństwa i wykrycia naszego czynu.

— W rzeczy saméj widziałem go siedzącego przed domem, ale nim zdążyliśmy przybiedz, on tymczasem już wszedł tutaj, a wtedy zadałeś mu cios sztyletem.

— Tak, popełniliśmy zbrodnię, ale —my cyganie będziemy ostatni na których padnie po-

dejrzenie, w najgorszym razie opuściemy tylko tę okolicę.

— Sir Maldetur stał chwilę w zamyśleniu a potem odrzekł:

— To co nazywacie nieszczęściem, najlepiéj nam posłuży. — Słuchajcie... jutro skoroby odkryto ciało dziewczyny, każdy zadziwiłby się nad jéj nagłą śmiercią, wmięszanie się do téj sprawy sprawiedliwości wstrzymałoby pogrzebanie zwłok a tak wszystko stracone. — Lecz mam doskonały wybieg.

Włóż w ręce Paskiety sztylet, którym ugodziłeś Bartolomea.

— Na cóż się to przyda, rzekł cygan.

— Wiadomo w całéj okolicy że rycerz Bartolomeo kochał się w Paskiecie.—Skoro go ujrzą zamordowanego, będzie to dowodem że wszedł tu gwałtem i chciał uwieść dziewczynę, i domyślą się że w swéj obronie zabiła rycerza. — Co do niéj, łatwo pojąć iż umarła z przestrachu i wysilenia widząc popełnione przez siebie zabójstwo, a hrabiego dziedzica tych posiadłości będzie interesem pokryć całą sprawę

milczeniem. Skoro pochowają Paskietę, łatwo przyjdzie wydobyć ją z grobu, a gdy powróci do życia, musi być moją dobrym lub złym sposobem.

— Lecz dla czego zaraz nie możemy unieść dziewczyny, odparł cygan nie kontent z wybiegu szlachcica.,.

— Nie powiedziałżem że Paskieta jest lubioną w zamku, że hrabia się nią szczególnie opiekuje, będąc wazalem, musiałbym odpowiedzieć z majątku i osoby, gdyby po zniknięciu Paskiety, podobało się przetrząsć mój dom hrabiemu. — Bądź posłuszny i nadaj izdebce pozór nieładu, dla uzupełnienia podejrzenia, jaki usiłujemy obudzić.

Wkrótce wszystko spełniono według życzenia Maldetura, cała izdebka nosiła piętno nieładu i walki, dopełniwszy tego odeszli zostawiając drzwi otworem.

Nazajutrz przechodząc Maldetur niby od niechcenia koło domku Paskiety, ujrzał zgromadzonych wieśniaków, postanowił więc utwierdzić rzecz przez siebie ułożoną. — Niektorzy

zaczynali już dawać wiarę, kiedy jeden z nich zrobił następującą uwagę.

— Nie ma wątpliwości że Paskieta nie potrzebowała w obronie zabijać Bartolomea, gdyż ten twierdzi, że został ugodzony przez cygana, którego już został u dziewczyny.

— Jakto, zawołał sir Maldetur blednąc ze strachu, więc żyję Bartolomeo?

— Żyje, lecz bardzo jest osłabiony krwi upływem.

Usłyszawszy to Maldetur uważał się za zgubionego. — Wiedział bardzo dobrze, że jego lenny pan surowy, nie dopuszcza najmniejszych nadużyć swoim wazalom, musiałbym więc odpowiedzieć głową za śmierć dziewicy, nie pozostały mu więc jak dwie drogi; albo zbrojna obrona, albo spieszna ucieczka. — Pierwsze z tych było niepodobnem, bo hrabia był zbyt silnym przeciwnikiem aby mu mógł czoło stawić, obrał więc drugie to jest ucieczkę, na przypadek jeśli Bartolomeo odkryje całą sprawę.

Nim to uskutecznił, pobiegł Maldetur do la-

su gdzie siadywali cygani, i opowiedział im co zaszło, ale skoro się tylko dowiedzieli jakie im grozi niebezpieczeństwo, z największą zręcznością, jaką nam Cooper w Mohikanach opisuje, zwinęli namioty, a chociaż ich była spora gromada, starcy, kobiety i dzieci wkrótce zginęli w głębi ciemnego lasu, zostawiając w tyle dwóch najsilniejszych, dla uważania, jak daléj rzeczy obrót wezmą.

Ze swéj strony Bartolomeo wszystko prawie przewidując, posłał kilku wieśniaków do mieszkania Maldetura, aby się o nim dowiedzieli, a innych dla zakupienia od cyganów lekarstw rany uzdrawiających.

O świcie wrócili posłańcy z doniesieniem, że Sir Maldetur znikł zabrawszy kosztowności, jak równie że cyganie opuścili stanowisko.

Zapewniwszy się o tem dobrze Bartolomeo, kazał się zawieść do zamku dla udzielenia hrabiemu szczegółów o śmierci Paskiety, ułożywszy pierwéj, że całą winę zwalając na Maldetura, nic nie wspomni o usypiającym trunku,

bo sam postanowił z téj okoliczności korzy- stać.

Nieobecność rycerza i ucieczka cyganów, potwierdziły zeznanie Bartolomea. — Tegoż więc jeszcze dnia nastąpiło pochowanie dziewicy na pobliskim cmentarzu. — Bartolomeo dla słabości ciężkiéj nie mógł łóżka opuścić, dopiero następnéj nocy, wymknąwszy się z domu tajemnie' opatrzony w narzędzia potrzebne do kopania, udał się na cmentarz.

Znajdujemy wiele przykładów, że gwałtowne uczucia duszy dodają sił wycieńczonemu i osłabionemu ciału. — Zraniony Bartolomeo, czuł że niepotrafi sam odkopać Paskiety z grobu, i przenieść jéj w bespieczne miejsce, gdzieby mógł zadość oczynić swéj żądzy, jednak powoli zbliżał się w pośród nocy do grobu dziewicy, kiedy spostrzegł człowieka zmierzającego w toż samo miejsce z rydlem w ręk . — Obadwaj zmierzający ku sobie wkrótce się poznali — był to Maldetur i Bartolomeo. Jednym zamiarem wiedzeni nawzajem odgadli swe myśli, a zatem każdy skrycie postanowił pozbyć się swego rywala.

Jednak ani jeden ani drugi nie chciał użyć gwałtu, bo wrzawa walki mogłaby sprowadzić świadków, postanowili więc wspierać się nawzajem w odkopaniu dziewicy, a w duszy knując zamiar przy zdarzonéj sposobności, zapełnienia grobu trupem przeciwnika.

—Przychodzisz więc szukać swéj ofiary, rzekł Bartolomeo, zatrzymując się o kilka kroków od Maldetura.

— Bezwątpienia, przychodzę podobnie jak i ty aby nie pozostawić na pastwę okropnéj śmierci i robakom ciała pięknéj dziewczyny.

— Ponieważ nas obu sprowadza tak miłosierny uczynek, odparł Bartolomeo, prędzéj dojdziemy do celu łącząc nasze siły, przyjmij więc pomoc jaką ci z chęcią ofiaruję i udziel mi swojéj jakiéj udzielić możesz.

— Chętnie, odrzekł Maldetur, pierwszym zakładem dobrego porozumienia, jakie ma łączyć nas obudwóch, niech będzie pośpiech w robocie; daléj, weźmy się dzieła.

I natychmiast obaj chwycili za rydle, zaczę-

li odkopywać mogiłę świeżą dziewicy, rozmyślając nad skarbem którego szukali, oraz nad środkiem przywłaszczenia go sobie. — Ale była to rzecz zbyt trudna do wykonania, bo obaj stanęli na przeciw siebie śledząc niedowierzającem okiem najdrobniejsze poruszenia przeciwnika dla wzajemnéj obrony i uprzedzenia natarcia. — Praca postępowała dosyć sporo i już rydel nie raz uderzył ponuro o wieko trumny, kiedy Maldetur, zważając sposobną chwilę do pozbycia się rywala, chciał mu zadać cios śmiertelny w głowę, lecz Bartolomeo pierwéj to przewidział i uniknął ciosu a tymczasem sam tak potężnie uderzył Maldetura w piersi, że ten aż się wywrócił. Roztropniejszy od rycerza i widząc że sam nie zdoła odkopać grobu, a ztąd niebezpieczeństwo pozostawienia dziewicy losowi, zabierał się na nowo do pracy, kiedy jego przeciwnik tak się odezwał.

— Słuchaj Bartolomeo, jedna żądza ogarnęła nasze serca i jeden z nas może być tylko zaspokojony, lecz dla czegóż ma to nastąpić kosztem życia drugiego. — wydobądźmy z grobu dziewicę, potem przysięgam słowem rycer-

skłèn że pomogę ci do niesienia Paskiety, jeśli los dla ciebie ją przeznaczył.

Bartolomeo zbyt słaby jeszcze, znał dobrze że samby zamiaru tego nie wykonał, przyjął więc i teraz propozycje Maldetura, i obaj znowu wzięli się do pracy, wkrótce oczyszczyścili trumnę z ziemi jaka ją pokrywała i z niemałym trudem oddarli wieko, lecz jakże się zadziwili kiedy pustą znalezli trumnę...

Na ten widok rozpacz i gniew ich opanował; pierwsza myśl była, kto mógł wykraść z grobu dziewicę, i niewątpili że to było dziełem cygana, który ujęty wdziękami Paskiety postanowił ją uwieść na własny rachunek. Po krótkiéj naradzie oba umyslili szukać dziewicy po całéj Francji, lecz następnego dnia, nowe zdarzenie w Lusignan poruszyło całą okolicę.

Kilku wieśniaków przechodząc koło zamkniętych drzwi od domu Paskiety, słyszeli odgłos z którego domniemywali się, że musiało tam zostać zamknięte zwierze domowe, ale wkrótce ich ciekawość zamieniła się w przestrah, skoro usły-

szeli wyraźnie głos dziewczyny. Nastręczająca się myśl że to mogła być dusza Paskiety, nabawiła ich przestrachem, obstąpili domek trzymając się wszakże w pewnéj odległości, zaczęto już przebąkiwać o spaleniu, kiedy jeden z przytomniejszych radził pierwéj uwiadomić o tym cudzie hrabiego z Lusignan.

Na tę wiadomość hrabia wysłał swego marszałka i poczet służących, do których przywiązało się wielu ciekawością wiedzionych, tak dalece, że istotna processja szła do domku Paskiety; pobożni widzieli w tem zdarzeniu palec Boży, a zabobonni sprawkę złego ducha, Paskietę zaś uznano za czarownicę godną spalenia na stosie.

Skoro marszałek po wielu ostrożnościach zbliżył się do dziewicy i zapytał aby opowiedziała co się z nią stało, i jakim cudem wróciła do życia, biedna dziewczyna sama zadumiała nie była w stanie zdać sobie saméj sprawy, ze zdarzeń od trzech dni z nią zaszłych, przesądni otaczający domek z daleka wołali już aby jako czarownicę pod sąd ją oddano, ale przezorniejszy

marszałek, wiedząc ile hrabia a pan jego, mało przywięzuje wiary do czarodziejstw, a przytem pomny na silną opiekę, jaką jéj na całe życie zapewnił, kazał straży oddalić natrętnych widzów, a sam spisawszy wszelkie szczegóły, jakie mógł wydobyć z pamięci dziewczyny, powrócił do zamku zdać raport hrabiemu, zostawiwszy Paskietę pogrążoną w dociekaniu wątku téj nie rozwikłanej przygody.

Zaledwie kilka chwil upłynęło po odejściu ciekawych, kiedy się drzwi uchyliły i wszedł piękny postaci męszczyzna zbroją odziany, był to rycerz angielski, który długo krążąc w okolicach Poitieres, dowiedział się z wielu przydatkami o nadzwyczajnéj przygodzie dziewicy. — Skoro Anglik próg przestąpił, Paskieta z nadzwycaajną radością znajdowała się już w jego objęciach, i oto jest tajemnica, dla czego była głuchą na miłosne zapały kawalera Maldetur i rycerza Bartolomeo, bo kapitan angielski był jednym co potrafił pozyskać serce dziewicy. — Jeszcze kochanka pieściła się z pływającą kitą na szyszaku i męzką lubego

prawicą, kiedy nowe sztukanie nowego gościa oznajmiło. — a tym był Bartolomeo. — Dziewczyna przez skromność, nie chcąc jeszcze publicznie wyjawić swych miłostek, ukryła z pośpiechem Anglika w bocznéj izdebce i pośpieszyła otworzyć nowo przybyłemu.

Dawno już noc zapadła kiedy wszedł Bartolomeo, w mniemaniu że się sam na sam spotka z dziewicą.

Usiadłszy, zaczął jéj opowiadać całe zdarzenie, chwaląc się że on ją wydobył z grobu i przez miłość jaką ku niéj dawno czuje, odniosł do jéj domku.

Anglik ukryty słuchał powieści rycerza, kiedy nowe pukanie przerwało rozmowę. — Paskieta wstydliwa i ostróżna nie mogła dopuścić, aby ją ktoś sam na sam spotkał z mężczyzną, prosiła więc Bartolomea, aby się ukrył za szerokie skrzydła komina, co gdy się stało, poszła otworzyć i z podziwieniem wszedł sir Maldetur. — Podobnie jak poprzedzający rywal opowiadał dziewicy jak została pogrążoną w letargu, jak pogrzebaną, i iż pałając ku niéj tkliwą miłością, naraził oię na świętokradztwo

pogwałcenia cmentarza i wydobył ją z grobu. — Lecz sir Maldetur nie pomału się zadziwił skoro mu oświadczyła przebiegła Paskieta, iż niesprawiedliwie przechwala się jéj ocaleniem i na dowód tego przywołała Bartolomea.

Ten ukazawszy się nagle z ukrycia, zawstydził Maldetura i tak zakłopoconego wykryciem podejścia, ale nim przyszło do szczegółowych objaśnień, nowy gość zjawił się w domku dziewczyny— która z największą zręcznością ukryła dwóch rywali.

Nowo przychodzącym był cygan i ten najlepiéj rzecz całą wyjaśnił, iż zaraz pierwszéj nocy poszedł na cmentarz, wydobył ją z grobu i zaniósł do domu, nie przez litość, lecz z prostéj rachuby, to jest: dla zniszczenia podejrzenia jakie padło na cyganów w téj sprawie i dla tego prosił Paskiety aby prosiła możnego hrabiego de Lusignan o dozwolenie powrotu do dawnych siedlisk cyganom, co też uskutecznić przyrzekła. — Gdy się już cygan oddalił, Paskieta uwolniła sir Maldetura i Bartolomea zawiedzionych w miło-

snéj rachubie, oraz zawstydzonych podejściem.

Piękna dziewczyna przy swéj przebiegłości, korzystając z nadzwyczajnéj przygody, jaka jéj się przytrafiła, którą jednakże niewiadomość mgłą pokryła, mogłaby zyskać sławę i stać się równą dziewicy Orleańskiéj, gdyby nie kochała Anglika, młodzieńca pełnego zalet rycerskich, który mając szczerą chęć zrobienia jéj swoją żoną, postanowił nie puszczać rzeczy na dalszą odwłokę.

Przeto wkrótce na czele zastępu rycerzów, pochwycił sir Maldetura, Bartolomea i dwóch cyganów i oddał pod sąd duchowny, za przyrządzanie napoju usypiającego i zbrodnią znieważenia cmentarza.

Sir Maldetur i Bartolomeo wymknęli się z rąk sprawiedliwości przez wybiegi, na jakich nigdy możnym nie zbywa, ale cyganie zostali spaleni na stosie wobec kapitana angielskiego i Paskiety jego pięknéj małżonki.

PRAWDA WYCHODZI NA WIERZCH.

W gabinecie bogatego komisarza sprawiedliwości D. w Berlinie, siedział jego pisarz Traugott w głębokich myślach pogrążony. Przed nim leżał otwarty list, na który on niekiedy spoglądał. Ciężka walka wewnętrzna wyrażała się na jego twarzy i zdawała się odejmować

mu uwagę na przykrą temperaturę gabinetu w którym mimo ostréj zimy już dwadzieścia cztery godzin nie był piec ogrzany.

Nakoniec Traugot zakończył walkę. — Nigdy! zawołał, chociaż nie jestem winien wdzięczności memu pryncypałowi, nie mogę jednak dopuścić się takiéj niegodziwości! — Bóg który mi tyle razy dopomógł do poczciwego utrzymania się, będzie mi i daléj dopomagał, udzieli on mi siły do wytrzymania przeciw pokusom! — Ale możeby dobrze było zachować ten list.

To mówiąc złożył owe pismo, i zachował je starannie.

Powód téj walki w duszy Traugotta był następujący: Był on ojcem familji, miał czworo dzieci które trzeba było żywić i ubierać, a piąte nosiła jego żona pod sercem. Z trudnością dotychczas utrzymywał swoję rodzinę, bo chociaż bardzo był uzdatnionym w swojem zatrudnieniu a nawet posiadał znakomitą znajomość prawa, pryncypał jego jednak, nie tylko nie umiał go cenić, ale nawet przed niejakim

czasem umniejszył jego pensję twierdząc, że żaden pisarz tak dobrze nie jest płacony. Wiedział on dobrze jak trudno byłoby biednemu Traugotowi pozostać choćby na krótki czas bez zatrudnienia i dochodów i dla tego nie bał się żeby mu podziękował za miejsce.

Przez to zmniejszenie pensji położenie Traugota stało się jeszcze przykrzejszém, bo pensja jego nie wystarczała na kupienie drogiego drzewa wśród ostréj zimy, a słabość jego żony niedozwalała jéj zarobić co przez pracę; ale on ufał Bogu który go już nie raz wydźwignął z złéj doli. — W tém został powiedziony na pokuszenie, które dla człowieka w takiem jak on położeniu prawie zbyt się zdawało silnem.

Pryncypał Traugotta miał sobie powierzony proces przeciw pewnemu, bogatemu i znakomite wpływy posiadającemu człowiekowi, Radcy Rabechaps. Chodziło tam o 30,000 talarow, które pan Rabechaps powinien był zapłacić, jak to dokładnie świadczył stosowny dokument. Rabechaps dowiedział się że skarga złożoną

jest u pana D. a znając osobiście Traugotta na niego plan ułożył.

Traugott przed niejakim czasem przedstawił panu Rabechaps swoje przykre położenie, i prosił go o pośrednictwo do otrzymania korzystniejszéj posady; na tę prośbę odpowiedział bogaty radca tylko ściągnięciem ramion, dodając: —„ Zobaczę co się da uczynić! Teraz sądził że może użyć ubóstwa Traugotta do spełnienia swoich planów. Napisał przeto następujący list który spowodował walkę w duszy poczciwego pisarza, o któréj mówiliśmy na początku.

„Znając dokładnie równie znakomite pana zasługi jak i przykre położenie w którem znajdujesz się z powodu niewdzięczności i skąpstwa swego pryncypała, jako prawdziwy pański przyjaciel podaję panu w ręce sposób wyrwania się z obecnego niedostaku, i zajęcia miejsca jakie pańskim talentom przynależy. — Przez niedbalstwo i niedołęstwo swego pryncypała, posiadasz pan wszystkie dokumenta jego kancelarji, między któremi znajduje się także

dokument świadczący przeciw radcy Rabechaps. — Dokument ten jest fałszywy, ale niestety nie ma przeciw niemu dowodów, jeśli zatem chcesz pan zobowiązać sobie wspomnionego interesenta którego wpływ jest panu znany, wręcz pan oddawcy niniejszego w mowie będący dokument, za co otrzymasz natychmiast 500 talarów nagrody, z zaręczeniem obrony w razie mogących z tego powodu wypłynąć jakich bądź nieprzyjemności.

Jeśli pan chcesz przyjąć tę korzystną propozycję przez którą będziesz miał zaraz sposobność ukarania skąpstwa swego pryncypała, tedy udziel jutro oddawcy niniejszego twoję odpowiedź a następnie dokument o którym mowa. W takim także razie możesz się pan podać do posady sekretarza sądu kryminalnego, która niewątpliwie będzie mu udzieloną.

Jeden z pańskich prawdziwych przyjaciół.

Odpowiedź Traugota na ten list tak brzmiała:

„Mój panie! Moje smutne położenie zdaje się dawać panu powód do namawiania mię na czyn tak niegodziwy jaki mi przedstawiasz. Ale się pan na mnie bardzo omyliłeś. Swietne pańskie propozycje nie olsniły mnie, bo ufam Bogu który mnie nie raz wsparł i jeszcze wesprze. Oświadczasz się pan z przyjaźnią dla mnie, bo każdy kusiciel taką postać przybiera. Jeślibyś pan raz jeszcze chział sprobować sprowadzić mię z drogi powinności, tedy ogłoszę jego propozycję, a wtenczas nie trudno będzie odkryć bezimiennego autora. Oto jest moja odpowiedź.

Traugott.

Pan Rabechaps otrzymawszy ten list wściekał się ze złości, że musiał doznać odmowy od nędznego pisarza, i natychmiast zaczął chytrze przemyśliwać o zemście którą też wybornie wykonał. Kazał on jednemu z swojch poufalców, aby ostrzegł pana D. że jego pisarz ofiarował się za znaczną summę wydać dokument od którego sprawa pana Rabechaps zależy.

Pryncypał Traugotta należał do tych słabych głów które wszystko z jednego tylko punktu widzą. Nie wchodząc wcale w kłamliwą tkankę téj powieści, i nie mówiąc nawet nic swemu pisarzowi o oskarżeniu go, uwolnił go natychmiast od jego obowiązków.

W cztery tygodnie po tym tak smutnym dla Traugotta wypadku, widziemy go w jego mieszkaniu, pod strychem, opatrzonem najpotrzebniejszemi tylko sprzętami i zdradzającem wszędzie najwidoczniejsze ubóstwo. Smutny z opartą o stół głową, siedział poczciwy Traugott; po nogach jego wspinały się w górę jego dzieci, płacząc z głodu i zimna, prosiły ojca o śniadanie. Ah! biedne dzieci, one nie pojmowały jak okropnie rozdzierały serca rodzicom swojemi prośbami! Już wczoraj wieczorem ostatni kawałek chleba został zjedzony, a pieniędzy wcale nie było w domu. Matka którą zmartwienia rzuciły na łoże boleści, nie mogła wstrzymać się od głośnego łkania na widok płaczących dzieci; bo zdawało jéj się że ich już Bóg opuścił. Na domiar nieszczęścia dniem pierwéj właściciel do-

mu oświadczył Traugottowi że jeśli wciągu dwóch dni zaległego komornego nie zapłaci, przez komornika każe zabrać i sprzedać jego sprzęty.

Traugott nie mógł dłużéj patrzéć na cierpienie swojéj rodziny. Nie wiedząc dokąd, wybiegł z domu; wtém usłyszał odgłos dzwonów wzywających na modlitwy (bo to był poranek niedzielny) i skierował swoje kroki do najbliższego kościoła; wszedł i w milczeniu błagał Boga serdecznie, aby miał litość nad jego niedolą! Jakby wybranem było dla Traugotta, śpiewano piękną pieśń: „Kto się w opiekę poda panu swemu“ Z całéj duszy połączył głos swój Traugott do powszechnego chóru i nigdy tak wyraźnie nie czuł ważności zaufania w Bogu jak w téj chwili, i cudowna radość wstąpiła w jego serce. Jeszcze bardziéj utwierdziło wiarę jego budujące kazanie które także o ufności w nieograniczoną dobroć stwórcy zachęcało.

Z radosną pewnością że Bóg udzieli mu pomocy, poszedł Traugott do domu, i patrz, Bóg już mu dopomógł, bo gdy wszedł do swojéj komnaty, poskoczył ku niemu najstarszy synek

trzymając w ręku list wielką pieczęcią opatrzony.

Traugott zaledwie śmiał oczom swoim wierzyć zobaczywszy pieczęć królewską na tém piśmie. Uważnie przypatrywał się adresowi; czy istotnie do niego. Nie było wątpliwości, wyraźnie przeczytał swoje nazwisko. Pełen nadziei otworzył pismo i coraz bardziéj wyjaśniała się twarz jego podczas czytania, aż nakoniec zawołał z uniesieniem. Bóg mi cudownie dopomógł! Z łzami w oczach podał pismo swojéj żonie, i ona także zalała się łzami radości przeczytawszy je. Milczącem spojrzeniem wniebo podziękowali małżonkowie panu, który im wielką łaskę wyświadczył.

List obejmował pismo naczelnika wydziału sprawiedliwości, który w uprzejmych wyrazach chwalił uczciwość Traugotta, i zarazem przesłał mu nominacyę na korzystny urząd. Przyłączoną była prócz tego asygnacja na 500 talarów, aby mógł urządzić się stosownie do swego nowego stanu.

Traugott pobiegł z asygnacją do swego gospodarza aby mu na nią cokolwiek pożyczył. Gospodarz nie odmówił, a Traugott tym spo-

sobem pierszy raz od ośmiu dni był w stanie zjeść ciepłe pożywienie z swoją biedną rodziną, i ogrzać izdebkę, za co wszyscy serdecznie Bogu dziękowali.

Objąwszy swój nowy urząd, dopiero dowiedział się powodu pomocy którą tak niespodziewanie znalazł. W dwa tygodnie może po otrzymaniu dymisji z posady pisarza przy przy D. zabrano bez przygotowania papiery radcy Rabechaps, ponieważ miano go w podejrzeniu o rozmaite malwersacje. Na czele wyznaczonéj do tego celu osobnéj kommissji stał wspomniony naczelnik, który także dobrze obeznanym był z wspominanym wyżéj procesem pana Rabechaps. Ten tedy między papierami Rabechapsa znalazł list Traugotta, którego tamten na nieszczęście swoje zapomniał zniszczyć. Członkowie kommissji śledczéj którzy dowiedzieli się poprzednio od pana D. o mniemanéj niewiarze Traugotta, zdziwili się bardzo zobaczywszy ten list i udzielili naczelnikowi swoje domysły. Ten przekonawszy się że to było pismo Traugotta, wprost zarzucił panu Rabechaps usiłowanie dostania niegodnym sposobem w ręce swoje świadczącego przeciw niemu dokumentu. Rabe-

chaps z razu zaprzeczał, ale na widok listu Traugotta zmięszał się i przyznał prawdę.

Traugott który nowe swoje obowiązki z wielkiem zadowoleniem przełożonych swoich wypełniał, wkrótce ważniejszy urząd otrzymał. Ale nigdy nie zapomniał cudownéj opieki Najwyższego, który go z tak okropnéj niedoli wyratował, i zawsze napomninał swoje dzieci aby ufali w Bogu i w największéj niedoli silnie oparli się pokusie do złego.

DO SPOKOJNOŚCI.

O luba spokojności — pociecho kochana!
Przybywaj zawsze w skromnej méj ustroni,
Przed tobą zegnę dziękczynne kolana,
Za tobą zawsze myśl stroskana goni,
Nad blask, nad sławę, ciebie więcéj cenie,
Pobłogosławię z tobą przeznaczenie.

W swobodnem gronie kochanéj rodziny,
Wśród lubych osób przepędzając chwile,
Jakże szczęsliwe biegłyby godziny,
Jakby mi wszystek czas upływał mile,
Pod twą opieką spokojności droga!
Swieciła by mi gwiazdka szczęścia błoga.

Wszystko to dla mnie połyska w nadziei,
Stroskany, często tem się łudzę skrycie,
Ach! przybądź wówczas, bo w smutnéj kolei,
Ty spokojności! uprzyjemniasz życie,
Wlewaj w me serce twój balsam tak miły,
By mnie nadzieje próżno nie łudziły.

A jeśli kiedyś z srogiéj losu woli,
Lube marzenia w niwec się obrócą,
Bóg mi szczęśliwym zostać nie dozwoli,
I cierpień ciosy dni moje ukrócą,
Ty przybądź, pociesz spokojności droga!
Skléj me powieki — wznieś duszę do Boga,

Jan H....

SPIS RZECZY

W TOMIE IV ZAWARTYCH.

Burza. F. Soulié . . . 11
Cyganie w XV wieku. . F. Soulié 163
Do spokojności (wiersz). Jan H. . 228.
Krzyże i Wiatr Paul de Kock . 11.
Miłość (wiersz) Jan H. . . .112.
Pamiątka (wiersz) Jan H. . . 4.
Piosnka warjata (wiersz) B. Korab 63.
Prawda na wierzch wychodzi . : 217.
Przed jéj oknem (wiersz) B. Korab . 69.
Wieszczka z Palma A. Dumas . . 72.
Immortelka (w) J. H. 170